

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 247·— Marek, Półrocznie 494·— Mk. Rocznie 988·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonparailowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 98 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień“, Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 20 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 18. czerwca 1921. Nr. 25.

Zemsta zdradzonego męża

Wojciech Kruk zabija celnym strzałem swą wiarołomną żonę, Julię.

Zemsta zdradzonego męża.

(Do illustracyi tytułowej).

Historya, jak świat stara, jakich dzięki wojnie namnożyło się w świecie i to we wszystkich sferach, od najwyższych począwszy na najniższych skończywszy. Po kilkoletniej nieobecności wraca pod dach rodzinny mąż i znajduje przy boku swej żony kochanka. Rozpacz, perswazye, a gdy to nie pomaga, śmierć wiarołomnej żony lub tego, który zniszczył jego szczęście domowe, częstokroć samobójstwo.

W Prądniku Czerwonym rozegrał się krwawy dramat małżeński na tle podobnych stosunków. W roku 1914 mieszkaniec tamtejszy, Wojciech Kruk, szewc z zawodu, poszedł w pole wraz z innymi, pozostawiając w domu młodą żonę, Julię. Kruk dostał się do niewoli rosyjskiej, z której wrócił do kraju dopiero pod koniec roku 1919, po to tylko, aby się przekonać, że żona w tym czasie znalazła sobie pocieszyciela w osobie niejakiego Stefana Cholewy. Zaślepiony w swej żonie, nie widział Kruk początkowo, co się koło niego dzieje, dopiero gdy mu oczy otwarli usłużni sąsiedzi, aby rzecz sprawdzić, udał, że wyjeżdża do Kalwaryi, niespodzianie jednak powrócił późną nocą do domu i zastał żonę w objęciach kochanka. Odtąd dom Kruków zamienił się w istne piekło. Nie pomogły prośby zdradzonego męża, aby żona zerwała z trybem życia, wystawiającym go na ogólne pośmiewisko, powoływanie się na ich dotychczasową miłość, wreszcie używane zwykle w takich wypadkach na wsi argumenty wymowniejsze od słów, a nawet interwencya policyi, Krukowa nie chciała nawet słyszeć, o zerwaniu z ukochanym. Gdy stosunki zaostrzały się z dnia na dzień Krukowa zaczęła się przenosić do sąsiadów, en zaś zaczął bywać coraz rzadziej w domu.

Na skutek wniesionej przez żonę skargi o pobicie i rozwód, miała się w przeszłym tygodniu odbyć rozprawa sądowa. W przeddzień dowiedział się Kruk, że żona wyznaczyła Cholewie schadzkę w polu. Śledził ją zatem, a stwierdziwszy fakt, zastąpił wracającej drogę, prosząc gorąco raz jeszcze o zerwanie z ohydnym trybem życia i powrót pod jego dach. Gdy na jego prośby odpowiedziała cynicznie, uniesiony rozpaczą, ale i wściekłością, z rewolweru, jaki miał przy sobie, dał do niej strzał, kładąc ją trupem na miejscu. Po dokonaniu czynu, udał się na miejscowy posterunek policyi państwowej, gdzie zawiadomiwszy o zamordowaniu wiarołomnej żony, oddał się w ręce sprawiedliwości.

Naczelnik Państwa w Toruniu.

W pierwszych dniach b. m. odwiedził Naczelnik Państwa Pomorze. W świcie jego znajdowali się między innymi: przyboczny lekarz pułkownik Piestrzyński, major Switalski, szef Kancelaryi cywilnej Car, kapelan ks. Tokarzewski, dowódca kwatery rotmistrz Dunin Markiewicz, kapitan Mayer, oraz adjutanci porucznik Sołtan, podporucznicy Mościcki i Kadenacy.

Na powitanie Naczelnika Państwa przystrojono miasto Toruń, ozdobiono bramami tryumfalnemi, udekorowano zielenią i chorągwiami o barwach narodowych. W Działdowie oczekiwali przybycia Naczelnika wojewoda Brejski, jen. Zieliński i starosta działdowski, na dworcu zaś w Toruniu naczelny dowódca obozu warownego jen. Hauzer, szef tutejszej misyi francuskiej, przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych, przedstawiciele prasy i licznie zgromadzona publiczność.

O godzinie 11 przy dźwiękach muzyki hymnu narodowego zajechał na peron specjalny pociąg, wiozący Naczelnika Państwa. Wraz z Naczelnikiem Państwa przybyli Minister Sosnkowski, Minister b. dzielnicy pruskiej Kucharski, Dowódca O. G. jen. Zieliński, szef sztabu i wojewoda pomorski.

W chwili przybycia Naczelnika Państwa, żołnierze szkoły artylerzyckiej dali salwę honorową 6 strzałów armatnich. Na peronie powitał Naczelnika Państwa dowódca obozu warownego jenerał Hauzer, w serdecznych słowach przemówił prez. miasta Diettl, poczem powitał Naczelnika Państwa szef misyi francuskiej. Naczelnik przeszedł następnie przed frontem kompani honorowej 66 pułku piech. jego imienia, poczem między szpalerem młodzieży szkolnej, Towarzystwa i cechów udał się na Mszę św. do kościoła św. Jana, gdzie imieniem duchowieństwa powitał Naczelnika ks. dziekan.



Naczelnik Państwa w Toruniu: Naczelnik Państwa składa wieniec na pomniku Kopernika. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Następnie pojechał Naczelnik Państwa ulicami, witany entuzyastycznie przez ludność i udał się pod pomnik Mikołaja Kopernika, u stóp którego złożył wieniec z napisem: „Mikołajowi Kopernikowi — Naczelnik Państwa Józef Piłsudski".

Stamtąd pojechał Naczelnik do przystani marynarki wojskowej, gdzie w obecności wiceadmirała Porębskiego udekorował krzyżami „*Virtuti Militari*" za waleczność, licznych oficerów i marynarzy. Po skończonej dekoracyi Naczelnik Państwa pojechał da kasyna wojskowego na śniadanie, a o godzinie 12·30 udał się do swojej kwatery, gdzie udzielał audyencyi.

Po skończonych audyencyach Naczelnik Państwa zwiedził zabytki miasta, przyczem informacyi udzielał konserwator dzieł sztuki na Pomorzu dr. Lankau. Około godziny 8 wieczorem we Dworze Artusa odbył się obiad, wydany przez województwo pomorskie.

Tutaj powitał Naczelnika Państwa Minister Kucharski, zaznaczając, że przyjazd Naczelnika Państwa na Pomorze jest niejako uduchowieniem faktu połączenia Pomorza z Polską.

Następnie przemawiał jenerał francuski Grand d'Erle i wojewoda pomorski Brejski, który zakończył przemówienie okrzykiem na cześć Naczelnika Państwa.

W odpowiedzi wygłosił Naczelnik Państwa przemówienie, w którem podkreślił znaczenie, jakie ma Pomorze dla Polski. Ze wzruszeniem — powiedział Naczelnik Państwa — wstępowałem na Ziemię pomorską. Tak wzruszony jestem zawsze, gdy przekraczam granice, zakreślone przez zaborców. Zaborcy wypisali na słupach granicznych wyraz „Zapomnij", abyśmy zapomnieli co nam drogie, a przedewszystkiem o mowie ojczystej. My powinniśmy w miejsce tego hasła zaborców umieścić hasło: „Pamiętaj". Pamiętajmy, że nasza kultura wskutek rozbiorów kształtowała się na różnych podstawach; pamiętajmy, że współpraca dla Ojczyzny powinna być niczem nie dającym się zerwać łącznikiem całego narodu.

Przemówienie swoje Naczelnik Państwa zakończył toastem na pomyślność Pomorza.

O godzinie 23 Naczelnik Państwa udał się do Teatru Narodowego na ostatni akt „Kościuszki pod Racławicami". Tutaj powitał Naczelnika Państwa dyrektor teatru Frączkowski. Z teatru udał się Naczelnik Państwa na raut, który zgromadził przedstawicieli wszystkich warstw ludności.

Około godziny 1 udał się Naczelnik Państwa do kwatery, skąd następnie odjechał do Bydgoszczy, żegnany przez władze cywilne i wojskowe.



Naczelnik Państwa w Toruniu: Naczelnik Państwa na pokładzie monitora wiślanego, w rozmowie z marynarzami, ozdobionymi orderem „Virtuti militari" i Krzyżem walecznych. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Targ poznański.

Pierwszy w Polsce samodzielnej Targ, urządzony w Poznaniu przez ruchliwe tamtejsze sfery przemysłowe i handlowe, wypadł znakomicie. Naśladowaliśmy wprawdzie w tym kierunku tylko zagranicę, gdzie dawno już poznano doniosłość podobnych przedsięwzięć. Mimowoli przecież przychodzą na myśl nasze dawne słynne jarmarki, na których na.

stępowała wymiana produktów Wschodu i Zachodu. W Poznaniu zapoznał się kupiec polski z tem wszystkiem, czego dostarczyć może nasz przemysł i przekonał się na miejscu, że bardzo wiele artykułów, które sprowadzał z zagranicy, wytwarza przemysł rodzimy. Kupiec polski dowiedział się w Poznaniu, gdzie znajdzie potrzebne mu towary, a tem samem i kupująca publiczność, gdyż w ten sposób odpada potrzeba utrzymywania pośredników handlowych, opłacanych bardzo suto, naturalnie z kieszeni ostatniego nabywcy. W Targu poznańskim wzięło udział ponad 1100 wystawców ze wszystkich gałęzi naszego przemysłu, a ilość nadesłanych eksponatów była tak wielką, że na pomieszczenie ich, prócz pierwotnie planowanej Wieży górnośląskiej, dwu głównych pawilonów i całego szeregu mniejszych na Placu wystawowym, użyć musiano nadto trzech budynków szkolnych w różnych częściach miasta. Zainteresowanie się Targiem było olbrzymie, zjazd swoich i obcych nadspodziewany. Już w pierwszych dniach przeprowadzono liczne transakcye handlowe, idące w miliony. Sceptycy, którzy wątpili w udanie się przedsięwzięcia, musieli uznać swą pomyłkę, ci zaś, którzy nasz przemysł wyobrażali sobie, jako coś małoznacznego, z czem się nawet nikt nie liczy, doznali miłego rozczarowania.

Uroczyste otwarcie Targu poznańskiego odbyło się w dniu 28 maja b. r. Wzięli w niem udział przedewszystkiem członkowie komitetu Targu poznańskiego, przedstawiciele władz b. dzielnicy pruskiej wice-ministrowie Janta Półczyński i Wachowiak oraz wojewoda dr. Celichowski; wojskowość reprezentował dowódca D. O. G. Poznań, jen. Raszewski, Rada miejska Poznania zebrała się nieomal w komplecie, jak również zarząd miasta, a ponadto przybyli bardzo liczni współczestnicy i współtwórcy Targu poznańskiego, reprezentanci handlu, przemysłu oraz instytucyi finansowych, ich to bowiem wspólnemi siłami powstało dzieło o pierwszorzędnem znaczeniu dla życia gospodarczego Polski.

Otwarcie Targu poprzedziły przemówienia. Wygłosili je: Prezydent miasta mówił o oczekującej walce ekonomicznej, w której, aby nie być zwyciężonymi, musimy wykazać jak najwięcej twórczej energii i zdobyć się na najwyższy wysiłek pracy, świetnie mówił pan B. Kasprowicz z Gniezna, pan Radwan z Kalisza składał życzenia w imieniu Stowarzyszenia Kupców Polskich w b. Królestwie Polskiem, a dyr. Mazurkiewicz dziękował twórcom Targu.

Po przemówieniach prezydent miasta zaprosił obecnych do zwiedzenia Targu.

Przedmioty wystawione przez wytwórców należą do wszystkich prawie działów przemysłu, jest ich taka rozmaitość i takie mnóstwo, że trzeba samemu patrzeć na to, aby wyrobić sobie pojęcie i przeświadczenie, że nasz przemysł nie jest już bynajmniej w powijakach. Są tu reprezentowane prawie wszystkie jego działy, a każdy z nich wykazuje taki stan rozwoju, jakiego niejeden nawet się nie spodziewał.

Targ Poznański spełnił swoje zadanie. Jest to fakt, który stwierdzamy z radością, opierając się nietylko na wewnętrznem przekonaniu, lecz przedewszystkiem na jednomyślnej opinii sfer zainteresowanych. A jednocześnie należy podnieść, że miasto w czasie Targu dało dowody poczucia obowiązku obywatelskiego, spiesząc dyrekcyi z wszelką pomocą, zwłaszcza w dziedzinie mieszkaniowej. Każdy w miarę sił współpracował, ażeby Targ poznański, pierwszy Targ w niepodległej Polsce, stał się naprawdę zwrotnym punktem w naszem życiu gospodarczem, którego odrodzenie i rozwój stanowić powinny poważną troskę zarówno państwa, jak i całego społeczeństwa.



Targ poznański: Skwer przed pawilonem, w którym mieściła się admnistracya Targu.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Targ poznański: Samodzielne pawilony poszczególnych wystawców.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Ks Hirohito w Europie.

Po dłuższym pobycie na ziemi angielskiej, gdzie był, jak już poprzednio donosiliśmy, przyjmowany bardzo owacyjnie, przybył japoński następca tronu ks Hirohito w gościnę do Francyi.

Statek wojenny japoński „Katori", który przywiózł japońskiego gościa wraz z jego otoczeniem, zawinął do portu wojennego w Hawrze w dniu 30 maja b. r. Na spotkanie jego wypłynęło pięć francuskich kontrtorpedowców, a przybycie powitano przepisowymi dwudziestu jeden strzałami armatnimi. Pogoda nie dopisała, mimo to na powitanie egzotycznego przybysza, który w dniu 31. maja wylądował na ziemi francuskiej, zgromadziły się w porcie tysiączne rzesze.

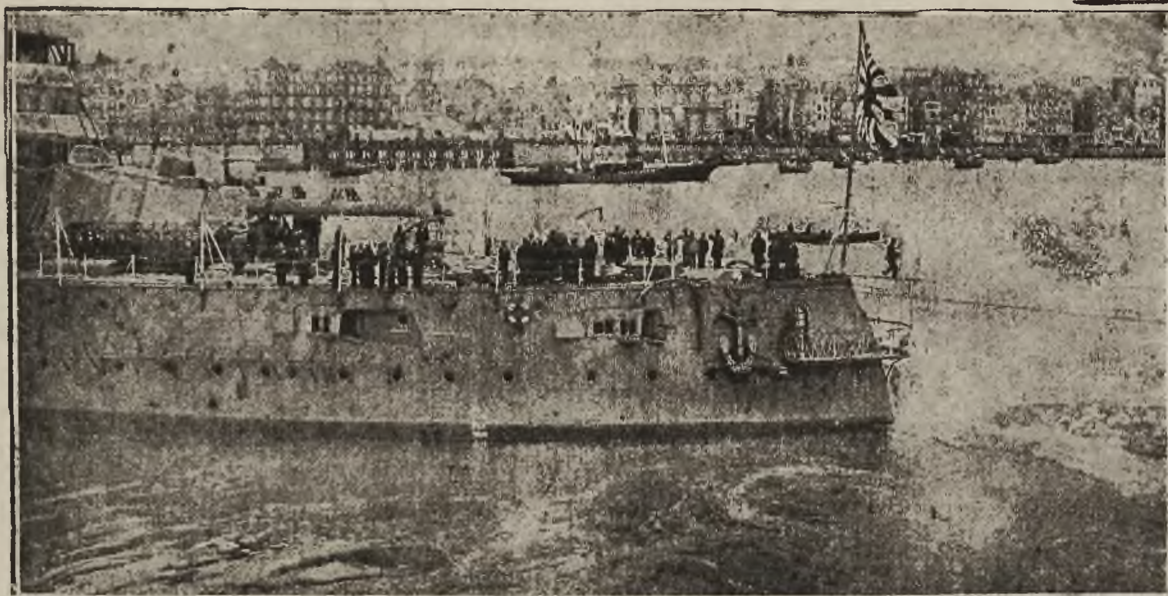
Ks. Hirohito zna się widocznie dobrze na etykiecie i z tego też powodu, o ile w Anglii, jako w państwie o ustroju monarchicznym występował przeważnie w mundurze wojskowym, w republikańskiej Francyi wystąpił w ubraniu cywilnem. Ubrany był w czarny surdut, a widoczny kłopot sprawił mu kapelusz, do używania którego w myśl europejskich zwyczajów nie jest widocznie przyzwyczajony. Zaambarasowanie jego, co zrobić z tem „pudłem, które się nosi na głowie", było widoczne.

Po oficyalnem powitaniu w porcie hawrskim przez władze cywilne i wojskowe, udał się ks. Hirohito wraz z swą świtą i przydzieloną mu francuską służbą honorową pociągiem kolei żelaznej do Paryża, gdzie wysiadł na dworcu św. Łazarza. Tu nastąpiło drugie powitanie przez reprezentantów rządu francuskiego, poczem japońscy goście udali się do przygotowanych kwater. Ceremoniał powitania był zastosowany do przepisów, obowiązujących przy przyjmowaniu zagranicznych władców, pozatem pozostawiono księciu zupełną swobodę ruchów w czasie jego dziesięciodniowego pobytu nad Sekwaną. Oficyalny charakter miało jedynie przyjęcie u prezydenta Republiki, wydane na cześć przybyłych. Dziesięciodniowy swój pobyt w Paryżu obrócił ks. Hirohito na zwiedzenie osobliwości miasta i najbliższej okolicy.

Dalszy program podróży japońskiego następcy tronu obejmuje wycieczkę do Belgii i Holandyi, powrót do Francyi w celu zwiedzenia miejscowości, gdzie rozegrały się najważniejsze epizody ostatniej wojny światowej, pożegnanie się z Europą i odjazd do ojczyzny, gdzie z utęsknieniem oczekuje nań urocza Nagako, jego narzeczona, stęskniona długą jego nieobecnością, a może i w obawie, aby która z mie-



Ks. Hirohito w Europie. Powitanie japońskiego gościa w porcie Hawru.



Ks. Hirohito w Europie: Statek wojenny japoński „Katori", na którym odbywa podróż następca tronu.

szkanek Europy nie odebrała jej jego serca. Bezpośrednio po powrocie do Japonii ma ks. Hirohito stanąć z swą wybraną na małżeńskim kobiercu.

Prasa francuska wita japońskiego gościa bardzo sympatycznie, ale nie tak głośno, jak to czyniła angielska, której widocznie szło o to, aby tej wizycie, ze względu na międzynarodowe stosunki, nadać możliwie jak największe znaczenie. I na ogół angielskiej ludności wywarł przyjazd japońskiego księcia ogromne wrażenie. Wyższe sfery angielskiego towarzystwa, z któremi przez cały czas swego pobytu nad Tamizą ciągle się stykał, ogarnął prawdziwy „szał japoński".

Zaproszenie na taką herbatkę poobiednią otrzymuje się nie przez telefon, lecz przez posłańca z kwiatkiem lotosu i karteczką, której zjaponizowane głoski trudno odczytać, aby się dowiedzieć, że na herbatę należy przybyć — w kimonie.

Jedna z dam londyńskich temi słowy opisuje taką herbatkę: „Sądząc, że chodzi o żart, zarzuciłam na siebie zwykłe moje kimono poranne, zastępujące mi szlafroczek. W salonie zastałam zamiast dawnych mebli poduszki, haftowane parawany, japońskie latarnie, rzucające tylko słabe światło na pąki kwiatów wiśniowych, liście bambusowe, grona dam uczesanych i wypomadowanych po japońsku, we wspaniałych, złotem haftowanych kimonach, a nad tem wszystkiem unosiły się wonne obłoki dymów z bronzowych kadzielnic i papierosów".

Czy i Paryż pójdzie w ślady Londynu w tym kierunku, to dopiero przyszłość okaże.

Układ handlowy polsko-węgierski.

Samodzielna Polska rozwija, choć powoli, ale skutecznie starania o nawiązanie z sąsiedniemi państwami stosunków handlowych, któreby umożliwiły zaopatrzenie się w ich produkty i wytwory, a równocześnie otworzyły rynki zbytu dla naszych. W ostatnich czasach zawarto kilka już traktatów i umów handlowych, między innymi z Francyą, Rumunią i Węgrami, dalsze są w toku, lub przygotowaniu.

Z Węgrami, z którymi wiążą nas nie tylko węzły sympatyi, ale i bliskie sąsiedztwo, choć rozdzielono nas przez wsunięcie się Czechów między oba kraje, nawiązanie handlowych stosunków ma tem większą wagę, iż oba kraje mogą drogą handlu zamiennego zaopatrywać się w artykuły, których potrzebują, a samych u siebie nie posiadają. Poza tem drogą na Węgry może Polska uzyskać bardzo tanie i wygodne połączenie wodne z południowym wschodem Europy, co powinno się przyczynić do nawiązania i ożywienia stosunków handlowych z krajami, położonymi nad Dunajem. Doniosłość tego handlowego zbliżenia się zrozumiały też obydwa narody i w tym celu założono w Warszawie Izbę handlową polsko-węgierską, w Budapeszcie zaś takąż samą, węgiersko-polską. Dzięki ich inicyatywie doszło też już do wzajemnego porozumienia między sferami przemysłowo-handlowemi obu krajów. Jak się okazuje z ich komunikatów, mają Węgry do zbycia produktów i wytworów, których Polska potrzebuje za około trzy miliardy, gdy natomiast nasz eksport do Węgier obliczono na około półtora miliarda.

Wynikiem tego porozumienia było zawarcie między Polską a Węgrami umowy handlowej na razie krótkoterminowej, która przyczyni się niezawodnie do silnego i trwałego zespolenia handlowego obu krajów. Następstwem tego był wyjazd do Węgier z Warszawy polskiej delegacyi przemysłowo-handlowej, w skład której wchodzili przedstawiciele Stowarzyszenia Kupców Polskich, Izby handlowej polsko-węgierskiej, Towarzystwa przemysłowców Rady miasta Warszawy, itd.

Nasza Rada ministrów ratyfikowała ten układ kompensacyjny między Polską a Węgrami, dotyczący zasad obrotu towarowego między obu państwami. Jakkolwiek układ ten nie jest traktatem handlowym w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz umową krótkoterminową kompensacyjną, z klauzulą, umożliwiającą wprowadzenie zmian w okresie jej trwania, to wszakże układ ten daje wszelkie podstawy do nawiązania korzystnych stosunków handlowych z Węgrami. Tygodnik „Przemysł i Handel" pisze: „Węgry będą dostarczać do Polski to, czego nam długi czas jeszcze brakować będzie, a mianowicie znakomite gatunki zboża, bydło zarodowe, koni, maszyny rolnicze i przemysłowe (turbiny, lokomobile, motory, silniki, urządzenia i materyały elektrotechniczne, a także dla poczty, telegrafu i telefonu, aparaty miernicze, różne artykuły techniczne dla przemysłu naftowego) chemikalia: (kwas siarczany i winny, amoniak, aspirynę, atropinę, chininę itd). Wody gorzkie, naturalne, oleje roślinne, skóry surowe, wełnę niemytą, pneumatyki samochodowe, kamienie młyńskie, wina, materyał i tabór kolejowy, a wreszcie narzędzia lekarskie i weterynaryjne. Z kolei Węgry będą pierwszorzędnym rynkiem zbytu dla naszej nafty, węgla kamiennego, szkła, wyrobów szklanych, drzewa i wyrobów drzewnych. Poza tem eksportować do Węgier możemy tkaniny bawełniane, wełniane i półwełniane, plusz, aksamit, wyroby jutowe, lniane, konopne sznury, szpagat, liny, gotowe ubrania, bieliznę, kołdry, koce, kilimy, pledy, trykotaże, kapelusze; maszyny rolnicze i przędzalnicze, naczynia emaliowane, materyały budowlane, sól, sodę i różne inne wyroby jak szczotki, farby, lakiery, polituręm biel cynkową, wstążki, guziki itp. Obrót towarów będzie się odbywać w zasadzie istniejących przepisów celnych, pocztowych i transportowych obydwóch państw. Umowa zawiera również porozumienie względem tranzytu. Posiada to dla nas dużą wagę ze względu, iż przez Węgry prowadzi droga na Bałkany, do Jugosławii, a Budapeszt, jako pierwszorzędny port na Dunaju, świetnie się kwalifikuje na miejsce składów tranzytowych towarów eksportowanych z Polski do państw Bliskiego Wschodu. Układ został zawarty na okres sześciomiesięczny z prawem przedłużenia automatycznego".



Układ handlowy polsko-węgierski: Członkowie delegacyi handlowej polskiej, podczas zwiedzania byłego Zamku królewskiego w Budzie.



Układ handlowy polsko-węgierski: Polscy goście składają wieniec u stóp pomnika Petöfi'ego.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

41

Czy to była pogoń? Gdzie Lonlia? Do jakiego tajemniczego miejsca popłynęła? Isaacson zaczynał mieć wrażenie, że to go mało obchodzi. Zapomniał, w jakim celu przybył do Egiptu. Zapomniał o swym przyjacielu, o swej nieprzyjaciółce; zapomniał o wszystkiem. Upał się zwiększał. Podmuchy wiatru ustawały. Około południa Beis przywiązał łódź, ażeby zmęczona załoga mogła odpocząć.

Stół został nakryty na pokładzie i Isaacson zjadł lunch pod rozpiętą płócienną zasłoną. Hassan przyszedł, żeby dotrzymać towarzystwa swemu panu i zabawić go rozmową.

— Czy jest dużo plantacyi pomarańcz nad Nilem? — zapytał Isaacson, patrząc na drzewa rosnące na wybrzeżu.

Hassan zaczął mówić o Mahmud Barondim. I znowu Isaacson słyszał o nim, o jego prawie legendarnej potędze. Nastąpiła serya plotek, Hanza został wymieniony, jego pielgrzymka do Mekki z Mahmud Barondim i obecna służba u „my lord Arminigel" na Lonlii. Isaacson nie wspomniał, że zna „my lord". Milczał i słuchał, aż gadatliwy Hassan wreszcie się zmęczył. Załoga spała. Dla urozmaicenia czasu Hassan zaproponował przechadzkę po pomarańczowych ogrodach do domu, który stał niedaleko.

Isaacson zgodził się. Przeszedł ze swym przewodnikiem przez kładkę i wkrótce znikli w „Villa un d'Or".

Kiedy upał się zmniejszył, Fatma znowu ruszyła w dalszą drogę. I wszędzie wzdłuż Nilu słychać było starą, smutną pieśń „Sakkijeh", a pochylający się przy pracy brunatni ludzie zwracali oczy w stronę Południa.

* *

Pewnego dnia około dziesiątej rano Hassan przyszedł oznajmić swemu panu, że Fatma znajduje się naprzeciw Edfu. Lonlia nie została jeszcze spostrzeżoną. Nieraz po błyszczącej rzece przepływały dahabijeh, nieraz jakiś steamer zapienił wodę Nilu i znikł, pozostawiając białą wstęgę za sobą — i sen powracał — sen haftowany złotem, ożywiony śpiewem brunatnych ludzi, ocieniony czasem palmowemi drzewami, a czasem migocący gwiazdami, Fatma podróżowała powoli przy spokojnem zupełnie powietrzu. Isaacson nie pragnął pospiechu. Na jego wrażliwą naturę Nil rzucił urok. Nigdy dawniej nie był tak bardzo pod wrażeniem otoczenia. Egipt położył na nim swe hypnotyczne ręce, a on się poddał jego wpływowi.

Nie wysiadł, ażeby zwiedzić Esnah. Nie był ciekawy El-Kab. Zdziwiony Hassan zabierał się do namawiania, lecz musiał się skłonić przed wolą marzyciela. Jednakże, kiedy wreszcie dotarli do Edfu, próbował znowu nalegać na swego pana i tym razem Isaacson się ocknął. Posiadał w wysokim stopniu zamiłowanie sztuki i nawet w swym pół-śnie czuł, że nie może opuścić świątyni Horusa w Edfu. Lecz zabronił Hassanowi sobie towarzyszyć. Postanowił pójść sam, nie zważając na etykiety Nilu. Wziął parasol, wsunął Baedekera do kieszeni i zwolna, prawie niechętnie, opuścił Fatmę. Na brzegu czekał osioł. Zanim na niego wsiadł, stanął na chwilę i patrzał. Wzrok jego pobiegł w górę rzeki i w oddaleniu zobaczył w promiennej atmosferze ostro rysujący się na błękicie wyniosły maszt dahabijeh. Dahabijeh ten musiał być przywiązany. Zapytywał się, czy to nie Lonlia i wróciło mu coś z jego zwykłego ożywienia. Pomyślał, czyby nie zawołać oburzonego Hassana, który swym bystrym wzrokiem mógłby rozpoznać Lonlię nawet na tej odległości. Albo może byłoby lepiej wrócić na łódź i podpłynąć tak blisko, aż sam by się przekonał. Ale w tem gorącem, złotem powietrzu rozmarzenie znowu go opanowało. Po co ten pośpiech? po co ten trud? Ożywienie słabło. Odwrócił oczy od dalekiego masztu i wsiadł na osła, który go spokojnie zaniósł do świątyni.

Nie było żadnego turysty. Odesłał poganiacza, mówiąc, że wróci piechotą do rzeki. Myśl, że ktoś na niego czeka, zmniejszyłaby jego przyjemność, a miał wrażenie, że był na progu największej w swem życiu przyjemności. Po raz pierwszy znalazł się w egipskiej świątyni.

Przez pewien czas zatrzymał się w zewnętrznym dziedzińcu, na który padały promienie słońca. Miał przed sobą kilka złotych godzin. Po co się śpieszyć? Zwolna postępował naprzód. Stada ptaków trzepotały nad nim skrzydłami. Był prawie głuchym na ich ożywiony świegot, gdyż owiała go święta cisza ciemności. Doszedł do progu i spojrzał za siebie. Przez wysoką, wąską bramę pomiędzy dwiema wieżami ujrzał wioskę i oczy jego spoczęły na chwilę na kopule meczetu. Za nim było miejsce modlitwy; przed nim przybytek, który zatrzymał w swych kamiennych ramionach mistyczne dążenia, niewypowiedziane tęsknoty, gwiaździste pragnienia i korną lub namiętną cześć ludzi, którzy znikli z tej krainy słońca, pozostawiając po sobie część swej prawdy, wzruszającej po wiekach ludzkie dusze.

Odwrócił się wreszcie i zwolna, prawie ostrożnie przeszedł ze słonecznego światła w mrok.

Jeszcze nigdy, w żadnym innym budynku Isaacson nie czuł się tak silnie pociągniętym naprzód, jak tutaj. A jednak zwlekał. Zatrzymywała go doskonała piękność tej świątyni. Żadna ludzka kreacya nie zadowolniła do tego stopnia tajnych wymagań jego duszy i umysłu. Czuł się przejęty pokojem, prowadzącym do wielbienia; ukojeniem, które wywoływało miłość i cześć. Doskonałość formy tej świątyni była rodzajem modlitwy, ofiarowanej Temu, który stworzył w człowieku zdolność tworzenia.

Pomimo tego spokoju ciemność go przywoływała, tak jak pustynia woła samotnego koczownika.

Pociągał go głęboki mrok sanctuarium, tego serca przybytku jedynego Ukrytego. Szedł pomiędzy kolumnami, a pomimo, że człowiek jest raczej odepchnięty, niż pociągnięty ciemnością, miał wrażenie, że się zbliża do czegoś bardzo pięknego, prawie boskiego, do czegoś, na co bezwiednie oddawna czekał i czego się spodziewał. I z tem uczuciem wszedł do Świętego Świętych, tej komnaty o wąskich ścianach, błękitnem sklepieniu, z ołtarzem i framugą z granitu, gdzie dawniej stał posąg Horusa, bożka słońca.

Spodziewał się znaleźć w sanctuarium podobiznę tego, dla kogo ten szlachetny budynek został wzniesiony, Zdawało mu się, że w tej tajemnicy piękności i ciemności sam bożek musiał przebywać.

Przed framugą stała biała postać. Kiedy Isaacson wszedł, poruszyła się, nawet drgnęła. Suknia zaszeleściała.

Isaacson się cofnął. Dreszcz go przebiegł. Tak się zatopił w swej kontemplacyi, duch jego tak bardzo został oderwany od tegoczesnego świata, że widok kobiety, turystki niewątpliwie, był dla niego najprzykrzejszą niespodzianką, jakiej kiedykolwiek doznał. I miał wrażenie, że jego nagłe ukazanie się było równie niemiłem tej kobiecie. W mroku wydawała się nienaturalnie wysoka; przez chwilę stała nieruchoma, poczem, czyniąc widoczny wysiłek zaczęła iść w jego stronę.

Chód jej wydał mu się dziwnie znajomym. Opanował się już zupełnie. Normalny człowiek w nim powrócił, czujny, spokojny, badawczy. Kobieta zbliżyła się, oczy jej patrzały śmiało na niego, kiedy miała go minąć. Lecz się zatrzymała i spuściła powieki.

— Mrs. Arminel — zawołał Isaacson.

— Kiedy to mówił, otworzyła oczy.

— Mrs. Arminel — powtórzył.

Zdjął kapelusz i wyciągnął rękę.

— A zatem to Lonlia, którą widziałem — rzekł.

Podała mu rękę i zaraz ją cofnęła.

— Pan w Egipcie! — rzekła.

Pomimo, że chód jej wydał mu się znajomym i przygotował na widok Bella Donny, głos jej zdawał mu się być zupełnie obcy. Był niemiły i ostry. Przypomniał sobie, że w Londynie uważał jej głos za jeden z jej największych wdzięków, za najskuteczniejszą broń. Czy się omylił? Czy nigdy go dobrze nie słyszał, lub dobrze nie słyszał teraz?

— Co pan porabia w Egipcie? — zapytała.

Stanowczo głos jej był nieprzyjemny, prawie wstrętny. Lecz domyślał się, że dźwięk jego został zmieniony w skutek jakiegoś wzruszenia, które ją opanowało.

— Co pan porabia w Egipcie? — powtórzyła.

Isaacson odchrząknął.

— Czułem się przepracowany i przyjechałem dla odpoczynku.

Milczała przez chwilę, poczem rzekła:

— Czy pan zawiadomił mego męża o swoim przybyciu? Czy wie, że pan jest w Egipcie?

Głos jej był jeszcze nieprzyjemniejszy, jeszcze bardziej niepodobny do jej zwykłego głosu, jakgdyby wzruszenie któremu uległa stało się żywsze, silniejsze.

— Nie, opuściłem Anglię niespodzianie. Nagły impuls.

Bezwiednie mówił, jakgdyby się tłómacząc, lecz zaraz się spostrzegł i dodał zupełnie innym, zmienionym tonem.

— Nie mówiłem nikomu o moim projekcie. Chciałem Niglowi uczynić niespodziankę.

— Niglowi! — rzekła.

— Myślałem, że uczynię pani i jej mężowi niespodziankę. Mam nadzieję, że pani mi wybaczy?

Po chwili, która mu się wydawała niezmiernie długa, odpowiedziała:

— Cóż jest do wybaczenia? Każdy ma prawo przyjechać nad Nil. Nie można się nigdy dziwić, jeżeli się kogo tutaj zobaczy. — Głos jej zaczynał nabierać trochę dawnego, ciepłego wdzięku, lecz znać było, że ten wdzięk był siłą woli przywołany.

— Użyłam wyrazu „zobaczyć" dodała — lecz prawdę powiedziawszy, nie można tutaj nic dobrze widzieć. Chodźmy.

— I przeszła z sanctuarium w mroczny, lecz mniej ciemny przedsionek. Isaacson za nią podążył.

W trochę silniejszem świetle rzucił na nią szybkie spojrzenie. Już podniosła rękę, żeby spuścić biały welon okrywający duży biały kapelusz. Jednak zanim go spuściła zauważył, że twarz jej nie była malowaną i że była śmiertelnie blada. Lecz ta bladość mogła być jej naturalną cerą.

— Pan jest nadzwyczajnym człowiekiem, doktorze Isaacson — rzekła wreszcie... Czy pan wie o tem? Nie zdaje mi się, żeby kto inny mógł przyjechać tak nagle do miejsca, gdzie się znajduje jego przyjaciel i nie dał mu o tem wiedzieć. Doprawdy, gdyby to nie o pana chodziło, możnaby pomyśleć, że kryje się w tem jakaś tajemnica — zakończyła śmiechem.

— Nigel będzie bardzo zdziwiony — dodała.

— Mam nadzieję, że pani nie myśli, żeby był nieprzyjemnie zdziwiony? Jak pani mówiłem, zamierzałem...

— Oh, wiem, wiem — przerwała. — Ale właściwie to się wydaje... nie bardzo po przyjacielsku, być nad Nilem i nie dać o tem wiedzieć. I zdaje mi się... Jak długo pan zabawi w Egipcie?

— Bardzo krótko, nie mogę długo się zatrzymywać, przeciwnie...

— Gdyby pan się zatrzymał, byłoby to bardzo rozsądnie. Pan jeszcze nigdy nie był w Egipcie?

— Nigdy.

— Jak długo pan bawił w Luksorze?

— Jedną noc na łodzi naprzeciw Luksoru.

— Cóż więc pan widział?

— Nic wcale.

Podniosła zwolna rękę i pociągnęła za welon.

— Chciałem wszystko zwiedzić w powrotnej drodze, płynąc w dół rzeki.

— Wogóle podróżnicy zwiedzają, płynąc w górę. I spotykam pana w świątyni.

— To jest pierwsza, do której wszedłem. Nie mogłem ominąć Edfu.

— Dlaczego?

— Może dlatego, iż przeczuwałem, że panią tutaj spotkam.

— Mówił z lekką uprzejmością światowego człowieka, chcącego powiedzieć komplement pięknej kobiecie.

— Mój dobry geniusz zaprowadził mnie do Świętego Świętych, bo pani tam — może marzyła?

Poruszyła się i zaczęła iść.

— Długo pan bawił w Kairze? — zapytała.

— Jedną noc.

— Zatrzymała się znowu.

— Co za nadzwyczajny pośpiech? - zawołała.

— Tak, jechałem prędko.

— Przypuszczam, że pan ma bardzo ograniczony czas. Pan zabawi tydzień, dwa?

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

45 I.

— To prawda, mylordzie. Sprawa jest jednak poważna.

— Dicku! pan nie może mnie opuszczać w ten sposób.

— Nie! nie opuszczę pana, mylordzie — rzekł nagle detektyw, jak gdyby powziął jakieś postanowienie.

— Oh! tak! to lubię! — ucieszył się Robert.

— A więc mylordzie, biorę na siebie wynalezienie sposobu transportu. Ale pan musi mi obiecać, że nie wyjdzie ani na krok z hotelu i sam na swoją rękę nie zechce nic przedsiębrać, bez mojego przyzwolenia, to jest porozumienia się ze mną.

— Czy wątpi pan we mnie?

— Lękam się, że znając teraz adres Markusa Hennera, nie zapragnie pan wyjść, aby przejść się pod oknami swojej ukochanej.

— Nie zrobię tego — szepnął, czerwieniąc się Robert, bo właśnie podobna myśl zrodziła się w jego głowie.

— Musi mi pan to obiecać.

— Obiecuję.

— Ludzie zakochani są szaleni — zauważył Dick, uśmiechając się.

— Ale co ja tu będę robił dzień cały! Umrę chyba z nudów i niecierpliwości!

— Przyjdę pana odwiedzić lub też napiszę do pana, mylordzie.

— Dicku! Ja przez ten czas będę siedział jak na rozżarzonych węglach!

— Niech mylord zabije czas pisaniem listu do pani Maryi.

— Oh! tak! napiszę do niej książkę całą! Napiszę także do Włoch, ale Dicku, mój przyjacielu, dzień jest bardzo długi.

— Może pan przygotować swoje bagaże, będzie to doskonałe zajęcie. Ale te bagaże niech nie będą ani duże, ani w wielkiej ilości. Aha! jeszcze coś! Musi pan przygotować zawczasu kilka sztuk kobiecej garderoby, bo pani Marya zjawi się między nami tak, jak wybiegła z domu.

— Czy mogę to uczynić, siedząc w pokoju?

— Oczywiście. Poszle pan kogo z hotelu po dostawców. Będzie to dla pana, jak przypuszczam, bardzo miła rozrywka.

— A potem, Dicku, potem.

— Potem — zajmie się pan wydobyciem pieniędzy złożonych w banku i listu, który jest w rękach właściciela hotelu. Powie mu pan, że wyjeżdża pan do Paryża.

— Doskonale — i co jeszcze?

— Co jeszcze? — nic. Będzie pan czekać na mnie. Trzeba mieć trochę cierpliwości, mylordzie. A teraz dobrej nocy życzę.

— Dicku, posłuchaj mnie pan — szepnął Robert po chwilowem wahaniu.

— Co takiego?

— Czy... czy... pytał się pan o „to" Johna?

— O co?

— Pan wie dobrze.

— Nie, nie wiem.

— O uciętą rękę... o tę rękę, którą pokazywałem panu.

— Nie, nie pytałem — odpowiedział Dick Leslie, zamyślając się.

— Dlaczego?

— Nie przyszło mi to na myśl.

— A jednak jest to rzecz bardzo ważna, Dicku, rzekł z wymówką Robert.

— Tak pan sądzi?

— Jakto? Nie jest pan mojego zdania?

— Czy panu zależy bardzo na tem?

— Oh! tak Dicku, bardzo.

— Więc dlaczego pan sam się o to nie zapytał?

— Ja, Dicku?

— Oczywiście.

— Miałem się pytać o to Johna?

— Tak, Johna.

— Przyznam się Dicku, że nie śmiałem — rzekł po chwili wahania Robert.

— Nie śmiał pan? Dlaczego?

— Bo zanadto lękałem się jego odpowiedzi.

— Nie rozumiem.

— Bo gdyby ta ręka, którą mam u siebie, nie należała do pani Maryi...

— To co z tego...

— Cały mój romans rozwiałby się odrazu.

— Ależ mylordzie.

— Posłuchaj mnie Dicku. Pokochałem panią Maryę właśnie przez tę rękę i przysiągłem sobie nie spocząć, aż odnajdę kobietę, do której ta ręka należy. Ja tę rękę okryłem pocałunkami i łzami, Dicku, tak, jak gdyby to była istota żyjąca. Ta ręka musi do niej należeć, albo to był sen tylko, z którego przebudzenie się będzie dla mnie bardzo bolesne.

Dick Leslie spojrzał na Roberta Alimenę jak gdyby miał do czynienia z waryatem.

— Dlaczego pan tak patrzy na mnie, Dicku?

— Bo to wszystko wydaje mi się bardzo dziwne.

— Dziwne?

— Tak.

— Ale czy pan wie coś o tem?

— Ja? Jakżebym mógł wiedzieć?

— Dicku, proszę mi powiedzieć prawdę.

— Prawdę, ależ mylordzie, ja nie wiem nic.

— Nic? Zupełnie nic?

— Zupełnie nic.

— Ale przypuszcza pan coś?

— Moje przypuszczenie jest nic warte.

— Oh! nie, nie Dicku, ono może być bardzo ważne — zawołał żywo Robert.

— Chce je pan poznać koniecznie?

— Tak.

— A więc, jestem pewnym, że ta ręka należy do pani Maryi.

— Pewny?

— Absolutnie pewny.

— Nie mając do tego konkretnych powodów?

— Tak.

— Dziękuję, Dicku. Ja także w to wierzę.

— Dobrej nocy, mylordzie.

— Dobrej nocy, Dicku.

W przypływie radości i wdzięczności Robert uścisnął serdecznie dłoń detektywa. Dick uśmiechnął się pobłażliwie i wyszedł. Trzecia godzina była właśnie na zegarze hotelowym. Czując, że nie będzie w stanie zasnąć, Alimena przygotował sobie herbatę na maszynce spirytusowej i usiadł w fotelu, z cygarem w ustach, zagłębiając się w rozkosznych rozmyślaniach.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Robert obudził się dosyć późno. Ledwie nad ranem znużony czuwaniem, usnął nagle snem ciężkim, z którego przebudził się z rozpaloną głową, nieprzytomny prawie. Długą chwilę nie mógł rozpoznać gdzie jest i co się z nim dzieje. Lecz kiedy nareszcie przypomniał sobie wszystko — skoczył prędko z łóżka i ubierać się zaczął.

Był to dzień, w którym rozegrać się miał los jego kobiety przez niego kochanej i znienawidzonego wroga, Markusa Hennera.

— Oh! ten dzień straszny, pełny nadziei i niespodzianek. Robert drżał na myśl tego, co się za kilka godzin wydarzyć może! A jeżeli Marya nie zaufa mu i odmówi wszelkiego widzenia się z nim? A jeżeli Levis, powiernik Markusa Hennera, zdradzi ich w ostatniej chwili? Henner zaś tak nieufny i podejrzliwy, może powziąć jakie podejrzenia i udaremnić plan cały!

— Umrę, jeżeli trzeba będzie, ale uwolnię Maryę — myślał Robert, zaciskając pięści, biegając po swoim pokoju jak szalony.

W pewnej chwili wszedł służący hotelowy i wręczył mu pocztę ranną. Były to listy z Włoch, które odesłano z Paryża, gdzie były adresowane. Między nimi był list od starego służącego Roberta z Melanu, który oznajmiał mu, że dom jego został nawiedzony najściem kilku złodziejów, którzy przerzuciwszy wszystko, odeszli, nie zabrawszy niczego. Najście to miało miejsce podczas krótkiej nieobecności służącego i jego żony.

— To Markus Henner szuka ręki Maryi — pomyślał Robert z gniewem. — Próżne jednak są jego trudy! Nie znajdzie jej tak prędko.

Drugi list, dłuższy, pochodził od adwokata Roberta, sławnego mówcy w świecie neapolitańskim, którego Alimena wybrał sobie za obrońcę w sprawie oskarżenia o morderstwo, usiłowane na Lambertinim. Wiadomości, jakie mu podawał Marius Miranda, były ważne; niektóre złe, niektóre zaś dobre. Hrabina Klara Loredana nie odstępowała od swojego oskarżenia, natomiast zeznania Lambertini'ego, obmywające z wszelkich zarzutów przyjaciela, było wielkiej wagi dla Roberta. Proces miał się rozpocząć w krótkim czasie, adwokat więc z całą gorliwością pracował nad odnalezieniem śladu winowajcy.

— Bardzo to mnie wszystko mało obchodzi — uśmiechnął się Robert Alimena i chociaż mi Miranda radzi pozostać jak najdłużej w Londynie i czekać wezwania, wyjadę do Ameryki, jeżeli tylko Marya zechce.

Pomiędzy listami nadeszłymi z Włoch, był jeden jeszcze, długi bardzo i serdeczny od hrabiego Lambertini'ego. Pisał on z Perousse, ze swojego zamku, dokąd wyjechał, aby w samotności i ciszy podratować silnie nadszarpnięte zdrowie. Zwierzał swojemu przyjacielowi całą rozpacz swoją z utraty młodej dziewczyny, którą kochał ponad wszystko. Cały list przepełniony był jej wspomnieniem i gorącemi słowami podrażnionej miłości.

— Ah! Robercie — pisał — nie żyję od chwili, w której utraciłem moją Rachelę. Jak tylko powrócę trochę do sił, odszukać ją muszę.

Myśl jakaś nagle wstrząsnęła jak prądem elektrycznym mózg Roberta.

Rachela! Rachela!

Czy to nie było to imię, które „ona", Marya, wymawiała w długich godzinach samotności i bólu. Czy nie do Racheli pisywała te liczne listy, które tamtą nigdy dojść nie miały?

Rachela, córka Maryi?

Tak — nie było wątpliwości. Młoda dziewczyna, kochana przez Ranieri'ego, była córką jego Maryi! W ten sposób wyjaśniała się teraz podwójna nienawiść i prześladowanie obydwóch przyjaciół przez Markusa Hennera! Teraz już jasnem było dla Roberta, dlaczego on i Lambertini mają w nim wspólnego, nieubłaganego wroga.

Ale gdzie się znajdowała ta Rachela? Czy żyje jeszcze, czy też ukryła się przed prześladowaniami garbusa? Ranieri Lambertini szukał jej, ale być może, że równocześnie poszukiwał jej Markus Henner? Ale gdzie ona się ukryć mogła? Gdzie?

Długą chwilę siedział Robert nad listem przyjaciela, zatopiony w rozmyślaniach. Czas biegł jednak. Trzeba było poczynić przygotowania, nakazane przez Dicka Leslie. Zawołał więc służącego hotelowego, wyrównał rachunek, odebrał pieniądze złożone u dyrektora, następnie u sprowadzonego kupca poczynił potrzebne zakupna dla Maryi.

Około godziny czwartej, kiedy już prawie wszystko było gotowe, Robert zabrał się do odpisania na niektóre listy, przybyłe z Włoch, lecz zaledwie skreślić zdołał kilka pierwszych słów, kiedy wręczono mu kartkę, napisaną ołówkiem. Kartka pochodziła od Dicka Leslie.

— Yacht Dundee stoi do dyspozycyi pana — pisał detektyw — w małym porcie St. James. Rozpozna go pan po biało-zielonej barwie. Kapitan jest mały, gruby i rudy. Powie mu pan: „Marya". On powinien odpowiedzieć: „Rachela". O nic pytać pana nie będzie, tylko po przybyciu pana odpływa prawie natychmiast, bo wszystko już jest przygotowane do podróży. „Dundee" zawieźć pana może zaraz do Liverpolu, lub New-Yorku. Radzę jednak nie płynąć w kierunku prostym i zmylać ślad temu, kto zechce ścigać yacht pana. Płynąć trzeba dosyć szybko. Na wyspie Wight trzeba wylądować i przeczekać tam dni dni kilka. Jest to miejsce wybrane dla pary zakochanych i tam Markus Henner napewno szukać was nie będzie. Niech się pan tych słów nauczy na pamięć i następnie kartkę spali. Napiszę raz jeszcze. All right. *Dick.*

Robert Alimena byłby bardzo pragnął wyjść natychmiast z hotelu i rozpoznać miejsce, gdzie oczekiwał yacht zamówiony, ale myśl, że Leslie pisać jeszcze tego dnia do niego będzie, wstrzymała go od tego zamiaru. Teraz, im prędzej zbliżał się wieczór, tem więcej dłużyły się Robertowi godziny oczekiwania. Nie wiedział już czem się zająć, aby odpędzić myśli, które nawałem do jego podnieconego mózgu cisnąć się zaczęły. Ogarnęło go w końcu takie zwątpienie, że tracić zaczął wiarę we wszystko. Był już prawie pewnym, że cały plan jego i Dicka nie uda się, że albo John go zdradzi, albo też Marya, zahypnotyzowana wolą Markusa Hennera, nie zechce skorzystać z pomocy, dającej jej możność ucieczki z nienawidzonego domu.

Na szczęście wkrótce po otrzymaniu kartki Dicka Leslie, wręczono mu depeszę i treść jej wpłynęła na zrównoważenie myśli Roberta.

(Dalszy ciąg nastąpi).

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

— Ale cóż, ludzie są tak podli! polecą wszędzie, gdzie się kurzy z komina, a on będzie karmił i poił, będzie dom prowadził dla niej, przepuści nietylko własne oszczędności, ale i majątek Ferdynanda.

* * *

Odtąd nowe życie zaczęło się dla Celiny! Pan Michał przychodził codziennie, okupując gościnność domowych pań cukierkami i biletami do teatru, a młodą dziewczynę otaczał taką miłością, że coraz silniej przywiązywała się do niego. Tak było jej z nim dobrze, tak swobodnie, tak miło przekonywać się, że pod lekką warstwą światowych przywyczek leżała gruda czystego złota. Chciałaby zatrzymać czas w swym biegu, nie myślałaby o żadnej zmianie, gdyby nie dokuczania trzech złośliwych kobiet. Duma nie pozwalała uskarżać się na nie przed panem Michałem, cierpiała więc w skrytości ciągłe ugryzki i prześladowania. Razu pewnego po obiedzie, Jadwiga ubierając się do wyjścia, rzekła stając przed lustrem:

— Długo jeszcze myślisz uszczęśliwiać nas widokiem swego narzeczeństwa?

— Prawdopodobnie do wakacyi — odparła Celina spokojnie — mam obowiązki z których uwolnić mnie nie zechcą.

— Bądź spokojną, nie stałaś się tak niezbędną, obowiązuję się wyrobić ci uwolnienie.

— Bardzo dobrze jeżeli masz tyle wpływu — mówiła Celina uśmiechając się.

— Uśmiechaj się, uśmiechaj fałszywa istoto, ciesz się z tego, żeś mi odebrała szczęście! Ale poczekaj, odwdzięczy ci się on za to, nie jest on tym barankiem, jakim okazuje się teraz, nieraz zapłaczesz na niego, a wtedy przypomnij sobie moją krzywdę.

— Żebym niewiem jak myślała, to żadnej tutaj krzywdy nie widzę, zresztą dowiedz się prawdy, a może zmniejszy się twój żal do mnie — rzekła Celina łagodnie. — Pan Wirski znał mnie od dawna, byłam u jego siostry i tam już oświadczył się, wówczas odmówiłam i odeszłam. On jednak nie porzucił swej myśli, szukał mnie, a znalazłszy, ponowił swe starania.

Jadwiga stała oniemiała, dopiero po chwili wybuchła!

— A więc to tak było? Mamo, Wando, czy słyszycie? całą intrygę uknuło to niewiniątko i cały czas śmiała się z nas w skrytości.

— Od początku nie podobała mi się ta dziewczyna — mówiła pani Domejkowa potrząsając głową — nie miałam do niej ani odrobiny sympatyi.

— Ani ja — dodała Wanda — tak oszukiwać prostoduszne i szczere kobiety, takiemi sztuczkami ściągać kawalera...

— Ależ na Boga co chcecie — zawołała zrozpaczona Celina — mówię prawdę, gdzież tu oszukaństwo, gdzie intryga?

— Prawdę mówisz — szydziła Jadwiga — było nam ją odrazu powiedzieć, a nie z jezuicką układnością słuchać zwierzeń moich, a potem śmiać się z nich może przed swoim wielbicielem.

Celina rozpłakała się, za dużo jej tego było, czuła się słabą i rozdrażnioną, gdy naraz rozległ się głos pana Michała: O co to chodzi? — Wśród krzyku kobiet, zastawszy drzwi otwarte, wszedł zabrać Celinę na umówioną wczoraj przechadzkę.

— O co to chodzi — powtórzył groźnie widząc łzy Celiny i gniew buchający z twarzy kobiet. Zmięszane milczały. Jadwiga tylko rzekła pogardliwie:

— Cóż panu do tego?

— Co mi do tego, gdy widzę we łzach moją narzeczoną...

— Niech się pan nie obawia, nie roztopi się od nich — odparła szyderczo, a zresztą nie raz będzie ona jeszcze płakała i to na pana, winszuję jej tego zamążpójścia...

— Tak pani myśli? — rzekł ze spokojem — na szczęście moja Cesia inne ma zapatrywanie, widzę jednak coraz lepiej jak nie rade panie moim wizytom i jej obecność.

— Dopiero teraz pan to widzi? — zawołała Jadwiga śmiejąc się ironicznie.

— Niestety, dopiero teraz. Mniejsza tam o mnie, ale zdawało mi się, że tak słodkie stworzenie jak Cesia, musi każdy polubić.

— Nie zna pan jeszcze swojej narzeczonej — zauważyła złośliwie matka — nie wszystko złoto co się świeci.

— Trzeba żyć z kimś pod jednym dachem, ażeby poznać co zacz — dodała Wanda wyniośle.

— Dobrze, moje panie, dobrze, postaram się. aby wam dłużej nie zawadzała — mówił pan Michał marszcząc czoło.

— Może pan ją weźmie do siebie, bo siostra pańska znać jej podobno nie chce — zawołała Jadwiga zjadliwie.

— Pani! dosyć tego — rzekł z groźnym spokojem — proszę o cierpliwość jeszcze kilka dni, a pozbędziecie się panie nas obojga. Przystąpił do Celiny — do widzenia — rzekł podając jej rękę i ściskając ją kurczowo — cierpliwości — dodał ciszej, jutro już może zabiorę ztąd panią.

Jadwiga wybiegła z pokoju trzaskając drzwiami, a Matka i Wanda umilkły, pokonane stanowczością i spokojem pana Michała.

Celina po wyjściu pana Michała upadła na krzesło, zakrywając oczy rękami.

— No, no, nic się strasznego nie stało — rzekła pani Domejkowa krzątając się po pokoju i patrząc z pod oka na Celinę — moje dziewczęta trochę za gorąco kąpane, a pani zrobiłaś krzywdę Jadwidze — Celina milczała — zresztą nic nie mam przeciw temu, aby pani została nawet do końca miesiąca, ale dłużej nie mogę, pani widzi jaka u nas ciasnota.

Celina siedziała jak martwa, dłużej już tu zostawać nie mogła, a napróżno łamała sobie głowę, gdzie się podzieje.

Tymczasem pan Michał zirytowany i podniecony, spieszył do siostry. Wprawdzie Ferdynand, wspominał, że jest oburzona na niego, ale dawał do poznania, że to minie i w końcu zgodzi się na wszystko. Otóż teraz powinna się zgodzić, kiedy on w takiej potrzebie, a ona, tylko ona, może go wyrwać z tego bolesnego położenia.

Pani Czarska zadrżała na widok tego niewdzięcznego brata! Nie dość, że przestał u niej bywać i zaniedbał ją przez tak długi czas, nie dość, że się tak nędznie żenił, jeszcze w dodatku poikłócił ją z Ferdynandem.

Chłodno przywitała go, wprowadziła do osobnego pokoju i ze sztywną miną usiadłszy na kanapce, pewną była, że się zacznie usprawiedliwiać. Pan Michał zajęty swoją troską, nie zważał na to przyjęcie, a kładąc kapelusz na stole, rzekł bez żadnych wstępów:

— Ta sama przyczyna, która mnie wygnała z twego domu, dziś mnie do niego sprowadza, wszak Ferdynand mówił ci o moich zamiarach.

Popatrzyła na niego chmurnie nic nie mówiąc.

— Cóż tak milczysz, przecież sama namawiałaś mnie nieraz do zmiany stanu...

— Tak, ale z kim — mówiła spokojnie, przyrzekając sobie nie unosić się tak jak przy Ferdynandzie.

Z tą jedną, z którą mogę być szczęśliwym — odparł pan Michał poważnie — jeżeli jesteś dobrą siostrą to nie zapomnisz o tem.

— Zawsze nią byłam, ale wszystko ma swoje granice — rzekła uśmiechając się.

Pan Michał ośmielony jej łagodnością mówił serdecznie.

— No stało się! a teraz posłuchaj mojej prośby: nie wypada, żeby moja narzeczona, aż do dnia ślubu przebywała w obcym domu, kiedy mam siostrę, zaproś ją do siebie, bądź dla niej dobrą, a nigdy nie zapomnę ci tego.

W głosie jego brzmiało wzruszenie i gorące błaganie.

Ale pani Czarskiej było już tego za wiele! Jakto po tylu obrazach nie przeprasza jej, nie uniewinnia się, a tylko ciągle mówi o tej dziewczynie?

— Czy oszalałeś — zawołała zrywając się z siedzenia — więc nie dosyć, że mi narzucasz znienawidzoną bratowę, jeszcze chcesz, żebym ją do mego domu brała?

— Tak odpowiadasz na moją serdeczną prośbę — rzekł pan Michał blednąc.

— Tak — odparła z uniesieniem — nie udałeś się do mnie po radę w wyborze, nie udawaj się i w innych rzeczach. To ci tylko powiem, że padłeś ofiarą intrygantki.

— Ona intrygantką, ona, którą ledwie ubłagałem, aby nie uciekała przedemną — rzekł pan Michał patrząc z politowaniem na rozłoszczoną kobietę — nie znasz jej i nie rozumiesz, bo charakter ten leży poza granicami twego poznania.

— W takim razie czegoż udajesz się do mnie — zapytała szyderczo.

— Bo cię potrzebuję i nie chcę zrywać z najbliższą rodziną — jeżeli jednak jesteś tak nieubłagana — zatrzymał się chwilę.

— To co — zapytała stając przed nim.

— To sobie przypisz skutki twego postępowania — dodał energicznie — kto nie zna mojej żony, ten i mnie nie zna — z temi słowy porwał za kapelusz i wybiegł z pokoju.

On gotów dla niej wyrzec się całego świata — szepnęła pani Czarska załamując ręce — co mam robić, jak postąpić? — pytała sama siebie chodząc po pokoju — jak Michał zerwie ze mną, to i Ferdynanda pociągnie za sobą. Na Michała trzeba zrobić krzyżyk, cały utonął w tej niegodnej miłości, ale Ferdynanda nie mam prawa zrażać. Sądziłam, że cały majątek zapisze moim dzieciom, teraz bronić się trzeba, aby im całego nie odebrał. Przystać na żądanie Michała, znaczy zgodzić się na jego wybór, nie przystać, to zrazić sobie może na zawsze Ferdynanda. Ciężko westchnęła — a wszystko dla tego, że mam takie dobre serce — mówiła stając przy oknie — ulitowałam się nad sierotą, wzięłam do domu, obchodziłam się z nią jak z własnem dzieckiem i ot wygrzałam żmiję u łona.

Upłynęło kilka dni, żaden z braci nie pokazywał się. - Cóż to naprawdę chcą ze mną zerwać? — myślała zaniepokojona p. Czarska — czyżbym w dodatku musiała sama pierwsza przepraszać? ha cóż robić i tę ofiarę poniosę dla dzieci.

Pan Ferdynand siedział w sklepie przy kasie, kiedy zjawiła się przed nim pani Czarska. Rzadko przychodziła tutaj, nie cierpiała ruchu sklepowego i przypomnienia, że brat jej waży rodzynki i migdały. Lecz teraz stała cicha i pokorna. — Mam interes do ciebie — rzekła nieśmiało.

— Trzeba było zaczekać z nim, aż się sklep zamknie — odparł pan Ferdynand spokojnie — wiesz, że nie lubię oddalać się z interesu.

— Michał był u mnie przed kilku dniami...

— I cóż? — pan Ferdynand podniósł się i przeszedł z nią do pokoju za sklepem.

— Chciał, ażebym zaopiekowała się jego narzeczoną.

— Bardzo słusznie, ale ty naturalnie nie zgodziłaś się na to — dodał sarkastycznym tonem.

— Mówił ci o tem?

— Nie, od kilku dni nie widziałem go wcale, biedaczysko musiał się zmartwić, dobrą jesteś siostrą, niema co mówić — zauważył z goryczą.

— Myślisz tylko o Michale — mówiła z żalem pani Czarska — a nie wspomnisz nawet, jaką boleścią jest to wszystko dla mnie.

— Gdzie tu boleść, czy może w tem, że brat żeni się nie po twojej woli? Więc zdaje ci się, że masz prawo rozporządzać cudzem życiem i brać odpowiedzialność za czyjeś szczęście?

— Niechby z każdą inną, ale nie właśnie z tą.

— A kiedy on właśnie tę wybrał, czy ty będziesz z nią żyła, co ci do tego?

— Zdaje mi się, że tracę brata — szepnęła ocierając suche oczy.

— I stracisz go, jeżeli tak dalej będziesz postępowała.

— A więc radź mi, powiedz co mam robić.

— Cóż innego jak przystać na żądanie Michała! Dziewczynie jest tam źle i nie wypada, bby do końca u obcych ludzi zostawała.

— Będzie to dla mnie wielką ofiarą.

— A dla niej myślisz nie będzie?

— Dla niej — zawołała z oburzeniem.

— Dla niej, którą tak ciężko obraziłeś! powinnaś być rada, że możesz to wynagrodzić, inaczej możeby kara Boska spadła na twoje dzieci.

— Jak ty do mnie surowo przemawiasz — skarżyła się pani Czarska, a łzy tymczasem naprawdę zakręciły się jej w oczach.

— Prawdę mówię — mruknął pan Ferdynand chodząc po pokoju z założonemi na plecach rękami.

— Dla ciebie to zrobię Ferdziu, dla świętej zgody...

— Więc nie dla sprawiedliwości?

Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

Wojtuś był chłopaczkiem wesołym i swawolnym, płatał figle na prawo i na lewo, niejednemu zalazł nawet nieraz za skórę, mimo to dla swej ruchliwości i wesołego usposobienia cieszył się sympatyą całej kamienicy i temu zawdzięczał, że patrzano przez palce na jego wybryki, mówiąc sobie „jak podrośnie i zmądrzeje, to się poprawi". Innego zdania był przecież ojciec Wojtusia, człowiek starej daty i zwolennik zasady „różdżką dziateczki Duch święty bić radzi", trzepał dość często garderobę swojego jedynaka, zwłaszcza dolne jej części i to nie czekając, aż je synek zdejmie ze siebie. Dzięki tym ojcowskim zabiegom nie lęgły się mole w ubraniu Wojtusia, figle jednak nie opuszczały go bynajmniej. Podczas egzekucyi darł się malec w niebogłosy, chcąc w ten sposób zmiękczyć twarde serce ojcowskie. W ten sposób dowiadywała się cała kamienica o przykrem zdarzeniu, jakie spotkało Wojtusia, a ten i ów z lokatorów, spotkawszy go potem, choć w duszy mówił sobie, że mu się to słusznie należało, ubolewał nad jego losem.

Zdarzyło się przecież, że raz powrócił ojciec Wojtusia jakiś rozdrażniony, jak to mówią „nie w sosie", a gdy chłopak nawinął mu się pod rękę, wymierzył mu zwykłą porcyę, choć tym razem Wojtuś żadnej winy nie popełnił. Krzywdę swą wziął obity tak do serca i tak sobie ją zapamiętał, iż odtąd, ilekroć zasłużenie dostał cięgi, na pytanie sąsiadów o powód tego niemiłego dlań zajścia, robił poważną minę i mówił:

— Jak zwykle spotkało mnie to niesłusznie... Ale ksiądz katecheta uczył nas w szkole, że „błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości". Zniosłem tyle prześladowań, zniosę i to jeszcze...

Tym Wojtusiem, narzekającym na niesłuszne prześladowanie, jest obecnie *Kuryerek*, który zawiadamiając czytelników o odebraniu mu debitu pocztowego na Górnym Śląsku, wyrzeka głośno na niesprawiedliwość, jaka mu się dzieje i robi ze siebie ofiarę prześladowania przez żywioły destrukcyjne, którym, jako „ostoja państwowości" jest solą w oku, przeszkadza im bowiem do „łowienia ryb w mętnej wodzie".

Powoływanie się jego na dwukrotne zawieszenie za czasów austryackich i na inne represye, jakie względem niego stosowano za jego szlachetne usiłowania, nie ma w obecnym wypadku zastosowania, gdyż przykrość jaka go teraz spotkała, jest następstwem winy, do której przyznać się powinien. Owo zawieszenie debitu było następstwem alarmującej wieści, podanej w jednym z numerów z poprzedniego tygodnia, a pochodzącej od „własnego korespondenta", o rzekomym zamordowaniu Korfantego. Redakcya zamieściła ją przecież na pryncypalnem miejscu, a choć zaopatrzyła znakiem zapytania i dopiskiem od siebie, że „wiadomość ta nie jest sprawdzoną", nie zdawała sobie widocznie sprawy z tego, że czytelnik, zwłaszcza zaś o niższym stopniu inteligencyi, nie zrozumie może, co ten znak zapytania ma znaczyć, niejeden zaś zadowolni się samym senzacyjnym tytułem i na treść depeszy, a temsamem i przypisku od redakcyi uwagi nie zwróci. W obecnych zaś stosunkach, zwłaszcza, jeśli się zważy, że *Kuryer* ma licznych czytelników na Górnym Śląsku i to właśnie wśród sfer robotniczych, musi się przyznać, że popełniono błąd, który mógł mieć bardzo fatalne następstwa. Odebranie debitu nastąpiło na zarządzenie tymczasowego rządu powstańczego, nie zaś „destrukcyjnych żywiołów". Chciano się w ten sposób uchronić od rozsiewania fałszywych i alarmujących wieści mogących poważnie szkodzić sprawie narodowej.

Wojtuś poniósł więc w tym wypadku zasłużoną karę, a to powinno być nauczką na przyszłość dla jego „własnych korespondentów", aby nie alarmowali opinii publicznej wieściami, wyssanemi z palca lub doszłemi drogą poczty pantoflowej, przez nich zaś nie sprawdzonemi. W pogoni za senzacyą musi się, a raczej powinno, zachować także pewną miarę, gdyż przeciwne postępowanie dyskredytuje tylko dziennikarstwo. Czytelnik nie wierzy potem i doniesieniom, nie zaopatrzonym znakiem zapytania i przypiskiem redakcyi, iż sama w nie nie wierzy, lub, że ich sprawdzić nie miała czasu. Inne pisma, które też mają swych „własnych korespondentów", nie wspomniały o tem ani słowa.

Obecna represya jest zatem usprawiedliwioną i nie powinna być podciąganą pod ten sam mianownik, co poprzednie, z czasów byłych rządów austryackich, gdy „*Kuryer*" padł w samej rzeczy ofiarą bezmyślności cesarsko-królewskich cenzorów, którzy stale szukali dziury na całem, węszyli wszędzie zdradę stanu, mimo to przecież nie uratowali staruszki, dogorywającej już z powodu braku sił życiowych. W owym czasie wystarczyło napisać, że woda w basenie w pływalni wojskowej w Parku Krakowskim jest zbyt zimna, lub, że Kraków powinien się nazywać, nie „Wielkim Krakowem", lecz „Małą Bazylsą", ponieważ rządzili nim wówczas ś. p. Leo i Bazes, aby uledz konfiskacie.

Wojtuś pouczy zatem zapewne swych korespondentów, aby na przyszłość byli oględniejsi w informowaniu redakcyi o senzacyach, o których się nikomu ani śniło, a wówczas zapomni urazy także i Korfanty, któremu także Wojciech na imię.

Jak „nasz własny korespondent", który w tydzień po owym telegramie widział Korfantego na swoje oczy, zawiadamia, żyje on, jest zdrów i na razie nie ma wcale ochoty przeniesienia się do wieczności i kieruje dalej ruchem powstańczym na Górnym Śląsku. Jeśliby zatem Koalicya chciała w uzupełnieniu dokonanego już plebiscytu kierować się przy rozstrzygnięciu sprawy górnośląskiej wolą ludu, z sytuacyi, jaka obecnie tamże panuje, musiałaby wyciągnąć wnioski, że kraj ten należy bezprzecznie Polsce, że o pozostawieniu, lub pokrajaniu w kawałki, aby każdemu zatkać czemś gębę, a sobie samej zostawić najlepszy kąsek, i mowy być nie może. Postanowienia traktatu wersalskiego powinny być wykonane w całej pełni, skoro zaś pozostawiono ludowi górnośląskiemu decydowanie o swym losie, a on wolę swą zupełnie niedwuznacznie wypowiedział i stale ją ciągle powtarza, już nie słowem lecz czynem, sprawa ta powinna być już raz stanowczo załatwioną, a uchroni obie strony od przykrych tarć i nieporozumień, które mogą odbić się fatalnie i na samej Koalicyi. Tymczasem zamiast łeb uciąć hydrze w jednym zamachu, sprawę górnośląską przewleka się w nieskończoność. Jak się obecnie pokazuje w punktach traktatu wersalskiego, dotyczących sprawy Górnego Śląska, zaszła drobna pomyłka. W tem miejscu, gdzie jest mowa, iż ma rozstrzygnąć plebiscyt" powinno być właściwie powiedziane „ma się Śląsk przyznać drogą licytacyi najwięcej dającemu". Widzimy bowiem z tego, co się dotąd dzieje, że wszystkie państwa koalicyjne rade byłyby zrobić na tem dla siebie jak najlepszy interes i dlatego przewlekają tak ostateczne załatwienie, które, jak sobie tego życzył Wilson, powinno nastąpić bezpośrednio po podpisaniu traktatu. Zabagnia się ją coraz bardziej, aż wreszcie dojdzie się do tego punktu, iż z onego błota nie znajdzie się poprostu wyjścia. Wszelakie komisye rzeczoznawców, czy to mających zbadać górnośląskie stosunki etnograficzne, historyczne, czy geograficzne nie mają racyi bytu, przewlekają bowiem niepotrzebnie tylko sprawę, a w rezultacie każda z nich fachową swą eksportyzę zaczyna od słów: „Zważywszy, że węgiel jest nieodzownie potrzebny dla przemysłu niemieckiego, który z powodu jego braku byłby unieruchomiony, a tem samem Niemcy nie mogłyby się uiścić z przyjętych na się zobowiązań wypłacenia mocarstwom sprzymierzonym odszkodowania wojennego"... Szkoda zatem ich fatygi i kosztów z tem połączonych, jasno bowiem wynika, że w grę wchodzi tu brudny interes, a nie słuszność lub sprawiedliwość. Dotąd byliśmy przekonani, że największy apetyt na Górny Śląsk, a raczej na jego węgle, mają Anglicy, obecnie pokazuje się, że ostrzą sobie nań zęby i przemysłowcy francuscy, a głos decydujący w tej sprawie zabrać ma nie Rada Najwyższa lub Rada Ambasadorów, ale potentanci przemysłowi, naprzykład panowie Loucher i Stinnes. Spotyka się w prasie głosy, i to nawet życzliwie nam usposobionej francuskiej, że Polska bez górnośląskiego węgla da sobie radę (być może dlatego, iż przez rok cały mamy czas letni...), gdy natomiast Niemcy nie mogłyby się obejść bez niego. Wszędzie i zawsze zatem ów nieszczęsny interes wyłazi na wierzch i zajmuje pierwsze miejsce, a to dla nas nic dobrego nie wróży.

Dyplomacya nasza, jak dotąd, nie popisała się bynajmniej, jak będzie w dalszym ciągu przyszłość to dopiero okaże, w każdym razie gwałtownej zmiany na lepsze spodziewać się nie można, a przynajmniej nie tak prędko. Mamy już nareszcie nowego kierownika spraw zagranicznych, czy jednak wybór był trafny, wie to jeden Pan Bóg tylko, my zaś dowiemy się dopiero o tem wtedy, gdy będzie *post factum*, to jest, gdy pan minister będzie szedł na pensyę, a w gazetach pojawią się jego polityczne nekrologi. Targi o portfel spraw zagranicznych trwały stosunkowo bardzo długo, choć naprężona sytnacya wymagała pośpiechu. Ale trudno, ów nieszczęsny „klucz partyjny", który zamiast otwierać, przeważnie zamyka tylko i to tak, że potem otworzyć nie łatwo, był powodem tego opóźnienia. Żadne ze stronnictw nie myśli się nigdy zrzec tego co mu się wedle tego „klucza" należy, choćby nawet miało to być połączone ze szkodą dla kraju. Na fotel zagraniczny wysuwano różnych kandydatów, ostatecznie wreszcie zgodzono się na kandydaturę Skirmunta, byłego posła do rosyjskiej Dumy, a obecnie pełnomocnika naszego w Kwirynale, czy jednak sprosta on swemu zadaniu, jako kierownik całej naszej zagranicznej polityki, gdy nie zdołał sobie dać rady z samemi Włochami, gdy szło o wynurzenia Piltza w sprawie górnośląskiej. Słabo też widocznie informował rząd włoski o stosunku Górnego Śląska do Polski, skoro Włosi zajęli w tej kwestyi takie same zupełnie wobec nas stanowisko, jak Lloyd George, który uczył się historyi widocznie z podręcznika, wydanego w Berlinie przez pruską Komisyę kolonizacyjną. Dałby Bóg, aby kronikarz mylił się w tym kierunku, gdy będzie przeciwnie, przyzna się z całą szczerością do winy, uderzy się w piersi i powie: „Przebacz panie ministrze, albowiem jesteś wielkim dyplomatą, ale ja o tem nic nie wiedziałem, gdyż o tych twoich zdolnościach nic dotąd prawie nie mówiono"...

W sprawie górnośląskiej jedno się kronikarzowi, choć nie jest dyplomatą, bardzo nie podoba. Równocześnie z wieścią, że załatwienie sporu polsko-niemieckiego o Górny Śląsk jest po porozumieniu się francuskiego Louchera z niemieckim „królem węglowym" Stinnesem na bardzo dobrej drodze ku ogólnemu zadowoleniu, że Niemcy dostaną kawałek Śląska, a i Polacy także kawałeczek, z reszty zaś, najważniejszej, utworzy się strefę tak zwaną neutralną pod zarządem koalicyjnym, pojawiła się pogłoska najwidoczniej inspirowana przez interesowanych, że Polska dopuszczoną będzie do udziału przy podziale kolonii niemieckich. Czy to nie ma być przypadkiem plastrem na ową ranę, jaką sercu polskiemu zada utrata Górnego Śląska?... Górny Śląsk przepadnie dla nas wprawdzie, gdyż Niemcy potrzebują węgli, a pieniędzy Koalicya, dostaniemy natomiast wzamian zamorskie kolonie, jak tego swojego czasu pragnął ks. Okoń. Rosną tam figi, daktyle i inne podobne słodycze, które stanowić będą *antidotum* na naszą gorzką dolę. Pozatem powiększy się i nasz gabinet o jeden fotel, gdyż w danym wypadku nie mogłoby się przecież obejść bez ministra kolonii. Aby do tego osłodzenia zamorskiemi figami naszej doli nie przyszło, w tem właśnie głowa pana ministra spraw zagranicznych. Niechaj sobie kto inny je figi i daktyle, łyka pieprz, poluje na słonie, cywilizuje murzynów, my domagajmy się tego, co było i jest nasze, to jest Górnego Śląska.

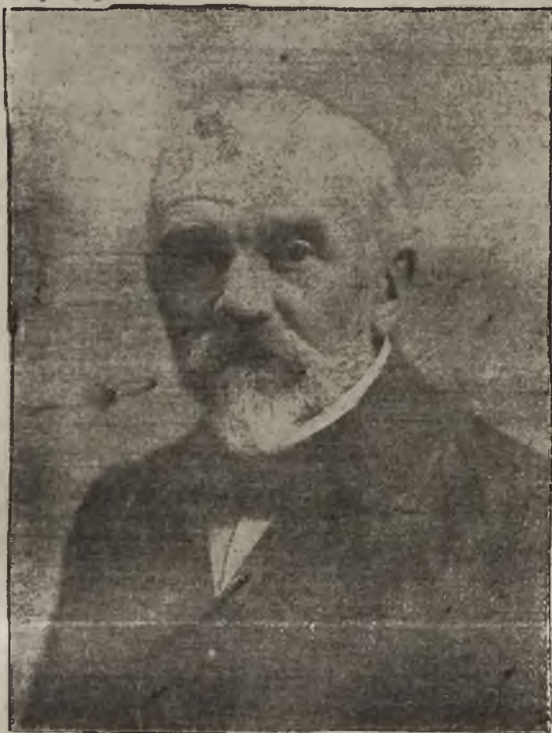
Polityce jednak trzeba dać spokój. Od kilku tygodni czerpie kronikarz z politycznej beczki, należałoby zatem sięgnąć do innej, dajmy na to do aprowizacyjnej, która aż się prosi, aby zaglądnąć do jej wnętrza. Pana ministra Grodzieckiego, który tak fałszywie grał na naszych nie tyle nerwach, ile żołądkach, pożegnaliśmy szczęśliwie, odprowadzając na... zieloną trawę. I dopiero po jego ustąpieniu dowiedzieliśmy się z nekrologów politycznych, że to był człowiek nadzwyczaj praktyczny, umiejący bardzo misternie połączyć piękne z pożytecznem. Jako minister aprowizacyi raczył wydawać pozwolenia na wywóz jaj za granicę, ale tylko przez Towarzystwo eksportowe, w którego Radzie nadzorczej sam zasiadał, *ergo* czerpał stąd dochody. Czyni mu się z tego powodu zarzuty, on jednak działał w najlepszej myśli, obawiając się, aby nadmiar jaj w kraju nie spowodował przypadkiem kogoś do zrobienia „jajkowej owacyi" jakiemuś członkowi zagranicznej misyi, podobnej do tej, z jaką spotkał się we Wilnie pan Chardigny. Należało zatem jaja usunąć z przed oczu, a najlepszy ku temu sposób wywieźć je za granicę. Że zaś użył do tego Towarzystwa, do którego sam należy, tego nie powinien za złe brać nikt, kto wie o tem, że interes dziś górą, a bliższa koszula ciała, niż kamizelka. Miał pan Grodziecki naprawiać to, co zepsuł jego poprzednik, tymczasem nabroił więcej niż tamten, a swojemu następcy zostawił taką Angiaszową stajnię aprowizacyjną, że nie da sobie z nią rady, choćby się nazywał nie Michalski, lecz Herkules. Podobno jednak i pan Michalski nie jest Herkulesem. Na dobrych chęciach mu nie zbywa, ale one same nie wystarczą, a aprowizacya całej Polski jest trudniejsza, niż samego Kalisza. W każdym razie życzymy mu, w interesie naszych własnych żołądków, aby mu się na tym niewygodnym fotelu lepiej wiodło, niż jego poprzednikom. Być może dopomoże mu do tego wolny handel, który już uchwalono, należałoby jednak równocześnie zamknąć i granice, aby tem, co dla nas przeznaczone jest do zjedzenia, nie paśli się sąsiedzi.

Pod względem aprowizacyjnym spodziewamy się zatem polepszenia, a ma się do tego przyczynić także otwarcie kuchni dla głodnującej inteligencyi w Krakowie. Na kooperatywach kuchennych nie utyliśmy bynajmniej, jaki skutek będzie z tej nowej próby ratowania nas od głodowej śmierci, to także przyszłość pokaże. Na wszelki wypadek zmierzył się kronikarz w pasie i jest ogromnie ciekawy, jaka będzie różnica po dwu lub trzech miesiącach, o ile naturalnie, to nowe przedsięwzięcie wytrzyma tak długo, bo wcześniej nie można oczekiwać widocznych skutków.

Zgon wybitnego przemysłowca.

Z grona przedstawicieli naszego wielkiego przemysłu ubyła jedna z najwybitniejszych postaci, których nazwisko związane jest ściśle z rozwojem naszego życia przemysłowego ostatniej doby. Zmarły w dniu 5 czerwca b. r. w Krakowie ś. p. inżynier Leon Zieleniewski przez długi szereg lat pracował gorliwie i sumiennie w dziedzinie życia przemysłowego, tak słabo u nas rozwiniętego skutkiem konkurencyi zagranicy, a przemysł nasz żelazny traci w nim prawdziwego pioniera, którego nazwisko znane było szeroko nie tylko w kraju, ale i daleko poza jego granicami. Pomimo tej obcej konkurencyi potrafił on, dzięki swemu zawodowemu uzdolnieniu, prawdziwie mrówczej pracy i zapobiegliwości, odziedziczoną po ojcu fabrykę wyrobów żelaznych w Krakowie, doprowadzić do takiego rozwoju i rozkwitu, iż dziś, z małych początków, bo powstała przed stu laty ze zwykłego warsztatu kowalskiego, stała się potężnem przedsiębiorstwem przemysłowem, mogącem śmiało iść o lepsze z największymi tego rodzaju zakładami zagranicy.

Sp. Leon Zieleniewski pochodził ze znanej krakowskiej patrycyuszowskiej rodziny, której członkowie zapisali się bardzo chlubnie w dziejach podwawelskiego grodu. Urodzony w Krakowie 4 lutego 1842, po ukończeniu w rodzinnem mieście Instytutu technicznego, odbył dalsze studya na Politechnice berlińskiej, gdzie uzyskał tytuł inżyniera. W r. 1864 powrócił do Krakowa i objął tutaj obowiązki profesora Instytutu technicznego, które pełnił lat siedm, będąc też członkiem komisyi egzaminacyjnej. Równocześnie rozpoczął pracę w rodzinnej fabryce przy ulicy św. Marka, początkowo przy boku swego śp. ojca, Ludwika, następnie sam, wreszcie z bratem śp. Edmundem, byłym posłem do austryackiej Rady państwa, po spaleniu się zaś tejże przy ulicy Krowoderskiej. W tym czasie fabryka odlewów żelaznych „Braci Zieleniewskich“ stanęła na tym stopniu rozwoju, że stanowiła prawdziwą chlubę polskiego przemysłu, a równocześnie należała do pierwszorzędnych przedsiębiorstw w byłem państwie austryackim. W miarę rozwoju przeniosła się z czasem na Grzegórzki i zamieniła w Towarzystwo akcyjne, jednoczące w sobie fabrykę krakowską, lwowską i wyrobu wagonów w Sanoku. Na czele stanął śp. Leon Zieleniewski, jako prezes Rady nadzorczej Towarzystwa od roku 1906 poświęcając przedsiębiorstwu całą swą energię i doświadczenie. To, czem dziś jest wspomniane Towarzystwo akcyjne, ma głównie i jedynie do zawdzięczenia śp. Leonowi Zieleniewskiemu.



Zgon wybitnego przemysłowca: S. p. Leon Zieleniewski.

Skromny, aż do zapoznania swej osoby, wrażliwy na niedolę ludzką, zawsze spieszący z cichą pomocą, charakteru nieskazitelnego, całe życie poświęcił niezmordowanej pracy, dla której nigdy nie szukał właściwej nagrody lub rozgłosu.

Sp. Leon Zieleniewski osierocił żonę Zofię ze Stehlików, synów Ludwika i Mieczysława, oraz córki Janinę Szporową i Maryę Stawowczykową.

Cześć Jego pamięci!

Zbrojenia morskie Stanów Zjednoczonych.

Wojna światowa miała położyć kres zbrojeniom i zadać ostateczny cios molochowi militaryzmu, gnębiącemu całą ludzkość. Tymczasem pokazuje się, że stara łacińska zasada „si vis pacem, para bellum“, nie straciła nic na swojej wartości, zbrojenia bowiem idą dalej i to nawet w daleko większej mierze, niż to było przed wojną.

A prym w tym kierunku wiodą Stany Zjednoczone, zatem państwo, które przed wojną miało najmniej wspólnego z militaryzmem. Zmusza je do tego nowa konfiguracya stosunków politycznych i coraz widoczniejsze umizgi Anglii do Japonii. Stany Zjednoczone, położone w środku między oboma temi państwami, nie mogą pozostać bezczynne, ponieważ zaś ewentualne starcie musiałoby nastąpić na morzu, główną swą uwagę zwracają na zwiększenie swej floty wojennej, która, aby módz im zapewnić bezpieczeństwo musi być równą angielskiej i japońskiej razem wziętej. Stosują się zresztą także i do zasady Richelieu'ego: „Bez morza nie można mieć ani pokoju, ani prowadzić wojny“.



Zbrojenia morskie Stanów Zjednoczonych: Prezydent Harding w otoczeniu sztabu marynarki, na pokładzie „Pennsylvanii“, podczas rewii floty atlantyckiej w dniu 28 kwietnia b. r.

Amerykańskie projekty flotowe datują się już od r. 1916, przyjął go i popiera obecny prezydent Harding, zgadza się nań cały naród, bez względu na przynależność partyjną, uważając osiągnięcie pierwszego miejsca między potęgami morskiemi za obowiązek narodowy. Minister marynarki Edwin Denby, jest też zdania, że Stany Zjednoczone powinny mieć taką marynarkę, jakiej żadna inna sprostać by nie mogła. „Posiadamy — mówił on — olbrzymie wybrzeża nad Atlantykiem, żywotne interesy na Antyllach, linię długą na Pacyfiku; musimy przedewszystkiem zachować archipelag Hawajski i Filipiny. Te wszystkie powody zmuszają nas do stworzenia marynarki najpotężniejszej, aby posiadać odpowiednią linię obronną“. Na tę „gwarancyę pokoju“ przeznaczono pół miliarda dolarów.

Flota amerykańska liczy dziś ton 467.250, angielska 808 200, japońska 319.140. Jeżeli projekt zwiększenia pierwszej z nich będzie przeprowadzony, to Stany Zjednoczone będą posiadać w r. 1924 marynarkę o pojemności 1,117.850 ton.

Prezydent Harding, który zwiększenie floty wojennej przyjął do swego programu i gorąco je popiera, korzysta przecież z każdej sposobności, aby uspokoić świat „pokojowemi wynurzeniami“. Z tego powodu zwiedzając niedawno szkołę marynarską, oświadczył kadetom, iż nie należy wyzbywać się umiejętności używania dział i szabel, dodał jednak, iż dopóki trwać będzie jego prezydentura, to będą





Parowóz i pierwsze wozy wykolejonego pod Winogradem pociągu. **Katastrofa kolejowa na linii Kołomyja-Horodenka**: Ogólny widok miejsca katastrofy.

oni tylko wówczas robili użytek z dział i mieczów, jeśli za ten użytek będą mogli odpowiedzieć godnie przed własnem sumieniem, przed Bogiem i przed swymi ziomkami.

Katastrofa kolejowa na linii Kołomyja-Horodenka

(Do illustracyi na stronie 9.).

Prawdziwą plagą dla podróżujących są aż nazbyt częste katastrofy kolejowe, pociągające za sobą niejednokrotnie ofiary w ludziach, a stale bardzo



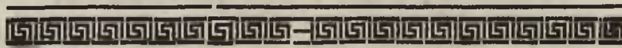
Tragiczny zgon polskiego lotnika: S. p. kapitan Antoni Poznański, wybitny lotnik.

dotkliwe, bo idące w miliony, straty materyalne. Powodem tych katastrof najczęściej wadliwość urządzeń kolejowych, nienależyte ich funkcyonowanie, czasem nieoględność personalu służbowego, rzadziej zaś złośliwość jednostek, aby mieć sposobność do zbrodniczego wyzyskania powstałego skutkiem nich zamięszania. Pierwszy powód to jest wadliwość urządzeń kolejowych, wchodzi dziś najczęściej w grę, a jest następstwem stosunków, wywołanych wojną. Zarząd kolejowy pomimo najszczerszych nieraz chęci, nie rozporządza odpowiednim materyałem i wiele jeszcze czasu upłynie, zanim w tym kierunku doczekamy się powrotu normalnych stosunków.

Katastrofa kolejowa, o której obecnie wspominamy, wydarzyła się na linii Delatyn-Kołomyja-Stefanówka. Boczna ta linia, łącząca linię Stanisławów-Woronienka przez Kołomyję z liniami kolei podolskich i bukowińskich, przeprowadzoną jest przez teren wprawdzie przeważnie płaski, przedstawia jednak tyle najdziwaczniejszych zakrętów i zygzaków, że o katastrofę przy jakiejś wadzie w nasypie kolejowym, zwłaszcza zaś przez przekroczenie przepisanej dla tej linii normy chyżości, bynajmniej nie trudno. To też było powodem obecnej katastrofy. Jak nam donoszą, tor kolejowy w miejscu wypadku miał być uszkodzony, a maszynista, nie zważając na zakręt, puścił pociąg z większą niż przepisaną w takich wypadkach szybkością. Skutki tego były fatalne.

Katastrofa wydarzyła się w dniu 6. czerwca b. r. o godzinie 8 minut 30 rano pod Winogrodem, na przestrzeni Kołomyja-Horodenka, a uległ jej pociąg mięszany, którego lokomotywa i cztery pierwsze wagony wykoleiły się i stoczyły z czterometrowego w tem miejscu nasypu do bagna. Z pomiędzy personalu kolejowego odniosło rany skutkiem okaleczenia, poparzenia i potłuczenia cztery osoby, a to maszynista, palacz, kierownik pociągu i kolejomistrz Harluk. Ten ostatni doznał najcięższych obrażeń. Z podróżnych nikt nie poniósł szwanku, straty natomiast, spowodowane wykolejeniem, w urządzeniu kolejowem, materyale i towarach, dochodzą przy pobieżnem obliczeniu wysokości kilku milionów.

Jak wykazały wdrożone dochodzenia, przyczyną katastrofy była zbytnia chyżość, z jaką pociąg posuwał się na nagłym skręcie i przy znacznej pochyłości toru kolejowego.



Kółko amatorskie Tow. „Skała" we Lwowie.

Lwowskie Towarzystwo młodzieży rękodzielniczej „Skała" ma już w życiu mieszczaństwa lwowskiego ustaloną reputacyę. Gromadzą się tam młodsze sfery rękodzielnicze, jest ono dla nich ostoją życia narodowego, a zarazem szkołą trudnego życia obywatelskiego, w którem kiedyś mają wziąć udział.

Towarzystwo mając na celu dobro swych członków we wszystkich kierunkach życia, zajmuje się też i wynajdywaniem dla nich pożytecznych, a godziwych rozrywek, które po ciężkiej codziennej pracy dałyby sposobność bodaj na chwilę zapomnieć o zwykłych trudach i kłopotach. W łonie Towarzystwa istniało też oddawna Kółko amatorskie, które zajmowało się urządzaniem przedstawień amatorskich, koncertów, zabaw i tym podobnych rozrywek, cieszących się ogromną wziętością pośród członków Towarzystwa i ich rodzin.

Na szczególniejszą wdzięczność zasłużyło sobie Kółko amatorskie „Skały" przez urządzanie stałych przedstawień teatralnych dla swych członków. W obecnych warunkach nie każdy może sobie pozwolić na to, aby bywać w teatrze, rozrywki umysłowej żądny jest także i człowiek pracujący fizycznie, jest ona dlań nietylko pouczeniem i miłem równoczesnie spędzeniem czasu, ale także i pewnego rodzaju wytchnieniem po trudach i znojach. W łonie Kółka rzucił ktoś inicyatywę, myśl w lot pochwycono i zamieniono w czyn, a w szlachetnem współubieganiu się o doprowadzenie do celu pięknego pomysłu wzięli zarówno udział ci, którzy zajęli się częścią administracyjną, jak również i amatorzy, ofiarujący chętnie, a bezinteresownie swe zdolności i siły dla dobra Towarzystwa i jego członków.

Mają więc członkowie „Skały" sposobność pożytecznego, miłego, a co dziś najważniejsze, nie kosztownego spędzenia wolnych chwil, miastu zaś przybyła jedna jeszcze świątynia sztuki, przeznaczona tym razem dla tych, którym w samej rzeczy oddać może największe korzyści. Praca fizyczna nie pozwala na kształcenie umysłu, poucząjąca rozrywka wpływa bardzo korzystnie na rozwój ducha i umysłu. Widzowi wydaje się, że się tylko bawi, a on tymczasem równocześnie się i rczy, odniesione zaś wrażenia pamięta stanowczo dłużej, niż gdyby je czerpał w drukowanem słowie.

Zarząd „Kółka" spoczywa w dzielnych choć młodych i spracowanych rękach. Na czele jako przewodniczący stoi p. M. Majer, sekretarzuje p. J. Kottas, skarbnikiem jest p. Skrobacz, reżyserują pp. Frydrych i Werbowski.



Tragiczny zgon polskiego lotnika: Miejsce katastrofy pod laskiem biłohorskim z szczątkami rozbitego samolotu.



Kółko amatorskie Tow. „Skała" we Lwowie: Zarząd i członkowie Kółka

Tragiczny zgon polskiego lotnika.

Lotnictwo nasze w ciągu dwu lat naszego samoistnego bytu rozwinęło się tak pięknie, iż stanowi prawdziwą chlubę armii polskiej i może śmiało rywalizować z zagranicą. Na jego kartach zapisało się zaszczytnie wiele nazwisk, niestety, obfitą też jest i kronika żałobna, w której spotykamy wzmianki o wielu dzielnych pilotach. Jak prawdziwi żołnierze na posterunku, zginęli oni przy zdobywaniu prze-

stworów powietrznych, dotąd jak się wydawało niedostępnych dla człowieka. W ich rzędzie znalazł się ostatnio śp. kapitan Antoni Poznański, jeden z najśmielszych naszych lotników, osobistość znana powszechnie w szerokich kołach sportowych w naszym kraju, jeden z najwybitniejszych członków „Cracovii" równocześnie także znakomity footbalista. Zamiłowanie do sportu było u niego wrodzone, był on jego życiem, ale stał się też i przyczyną tragicznej śmierci.

Wyruszywszy dnia 31 maja ze Lwowa o godz. 9 rano na lot do Przemyśla, zdołał przelecieć tylko 2 i pół kilometry, gdyż z powodu gęstej chmury i mgły, musiał powracać. I w tym momencie spadł z aparatu na ziemię, obok lasku biłohorskiego, poniósłszy ciężkie obrażenia. Przywieziony do sanatoryum Czerwonego Krzyża na Łyczakowie, po trzech dniach okropnych męczarni, nie odzyskawszy przytomności, zakończył życie. Zmarły osierocił matkę i dwie siostry.

Sp. kapitan Antoni Poznański urodził się w r. 1892 w Odessie. Ukończywszy Politechnikę w Mitweidzie, w r. 1914 wstępuje do Legionów, a w rok później walczy już jako lotnik. Podczas walk z Ukraińcami bierze czynny udział w IV. eskadrze lotniczej. W jesieni ub. roku, po zawieszeniu broni, zostaje przeniesiony na stałe do Lwowa do eskadry lotniczej im. Kościuszki, gdzie dzięki zaletom swego charakteru, uzyskał ogólną miłość i szacunek.

Pogrzeb śp. kapitana Antoniego Poznańskiego, odbył się w niedzielę dnia 5 czerwca o godz. 3 po południu ze szpitala garnizonowego przy ulicy Łyczakowskiej we Lwowie.

W zgasłym tragiczną śmiercią śp. kapitanie Poznańskim, traci lotnictwo polskie jednego z najdzielniejszych swych przedstawicieli, którego zgon odczują boleśnie wszyscy ci, którzy się żywo interesują rozwojem naszego rodzimego sportu.

Pół wieku na scenie.

W ostatnich czasach przypomniał Miejski Teatr Powszechny naszemu społeczeństwu nazwisko artystki, które przez pięćdziesiąt lat było ozdobą teatralnych afiszów ściągając tłumy publiczności. Wystarczyła wiadomość, podana w dziennikach, a potem powtarzana z ust do ust, że „Zimajerka przyjeżdża", aby w sferach zajmujących się teatrem, wywołać niezwykłe poruszenie. Starszy i młodszy starał się o to, aby ją widzieć na scenie, nawet biedny studencina ciułał grosz do grosza, by bodaj raz módz pójść na parter lub galeryę w czasie jej gościny.

Adolfina Zimajer lat pięćdziesiąt służyła rzetelnie Sztuce zyskując sobie jako pierwszorzędna artystka operetkowa tak w kraju jak i za granicą uznanie i zasłużone oklaski. I dziś, pomimo podeszłego wieku, została jej wierną, a każdy jej występ na deskach scenicznych witany bywa z niemniejszym entuzyazmem, jak to było wówczas, gdy należała do gwiazd pierwszorzędnych.

Sztukę ukochała całą duszą i całem sercem, sercem i duszą oddała się też na jej służbę nie dla szukania materyalnych korzyści. To zamiłowanie dodało jej też sił do wytrwania przez lat pięćdziesiąt na posterunku. „Zimajerka" jest i dziś ulubienicą publiczności teatralnej, a zapowiedź jej występu stanowi łatwo zrozumiałą atrakcyę.

Miejski Teatr Powszechny uczcił pięćdziesięciolecie pracy scenicznej Adolfiny Zimajer wystawieniem operetki Lehara „Idealna żonka". Jubilatka nie znalazła w niej roli, odpowiedniej dla swego talentu, mimo to, grą swoją przypominała bywalcom teatralnym dawne czasy, a każde pojawienie się jej na scenie dawało powód do entuzyastycznego przyjęcia i długo niemilknących oklasków.

Właściwa jubileuszowa owacya była długa, szczera i serdeczna, jak długą była karyera sceniczna Jubilatki, a szczerem i serdecznem umiłowanie przez nią Sztuki. W przemowach dyrektora Wiśniewskiego i artysty Lelewicza, również weterana scenicznego, podniesiono zasługi pani Zimajerowej i uczczono je widomie prawdziwą powodzią podarków i kwiatów.



Pół wieku na scenie: Adolfina Zimajer w jednej ze swoich najwybitniejszych kreacyi.



Wycieczka krakowskich kolarzy
w dolinę Dunajca i Popradu.

Pod nazwą turystyki rozumią ogólnie spinanie się po szczytach, w najlepszym zaś razie chodzenie pieszo, cyklista zaś musi koniecznie „zjadać kilometry" i to po drodze równej i gładkiej. Że tak nie jest, świadczą coroczne wycieczki krakowskiego klubu cyklistów i motorzystów, urządzone w różne okolice kraju, a do takich zaliczyć należy wycieczkę przez ten Klub urządzoną w czasie ostatnich Zielonych Świąt do doliny Dunajca i Popradu.

Mimo kilkudniowego deszczu, uczestnicy wycieczki ufni, że św. Bonifacy kończąc seryę „zimnych świętych" przyniesie upragnioną pogodę wybrali się w sobotę 14 b. m. popołudniu koleją do Nowego Targu, gdzie zarząd miasta przygotował im noclegi i kolacyę. W niedzielę rano wybrano się już rowerami w dalszą drogę ku Czorsztynowi, zwiedzając po drodze kościółek modrzewiowy w Dębnie, zabytek z XV. wieku, ozdobiony przepięknemi malowidłami, w stylu góralskim i znajdujące się w nim starożytne szaty kościelne. Zwiedzono następnie ruiny zamku czorsztyńskiego, poczem po przebyciu mostu krytego na Dunajcu, udano się na Spisz do zamku Niedzica, którego jednak z powodu nieobecności właścicielki, wdowy po magnacie węgierskim Salamonie, zwiedzić nie można było. Nie wstępując do pobliskiej Starej Wsi, podążono wzdłuż Dunajca, przebywszy granicę czesko-słowacką, mając wciąż przed oczyma szczyt Trzech Koron w Pieninach. Czerwony Klasztor, którego przed trzema laty jeszcze z powodu zniszczenia i grożącego niebezpieczeństwa nie można było wcale zwiedzać wewnątrz, dziś uporządkowany i uprzystępniony dla turystów. Same Pieniny trudno opisywać w tych kilku słowach, potrzeba na to silniejszego pióra, dość wspomnieć, że — jak twierdzą bywalcy — rzadko gdziekolwiek w świecie można spotkać się z podobnie uroczą partyą górską.

Przybywszy do Szczawnicy, ulokowała się wycieczka na nocleg w przeznaczonej jej przez Zarząd zdrojowy willi „Litwince", nazajutrz rano zaś udała się w dalszą drogę przez Szlachtową, górę Obidzę do Piwnicznej. Jeśli dotąd miała wycieczka dla rowerów odpowiedni teren, to tu już bezwarunkowo zrezygnować musiała z jazdy na kole. Prowadzeni przez admirała przewodników, p. Madeję, szli uczestnicy wycieczki, popychając koło siebie lub niosąc na ramionach swe wierne rumaki, podziwiając po drodze z jednej strony łańcuch Tatr, pokrytych jeszcze śniegiem, z drugiej strony zaś Pieniny z widocznym wciąż szczytem Trzech Koron. Po parugodzinnej takiej przeprawie przez szczyt przeszło 900 m. wysoki dostaliśmy się wreszcie na drogę bitą, zbudowaną jako początek drogi Piwniczna-Szczawnica, a te 6 km. jazdy bez jednego obrotu pedałem wynagrodziły w znacznej mierze poniesiony trud górskiej przeprawy. Po krótkim spoczynku w Piwnicznej udano się przepiękną doliną Popradu do Starego Sącza, gdzie bardzo szczegółowo zwiedzono klasztor PP. Klarysek i pamiątki po założycielce tegoż królowej Kindze, w Nowym Sączu zaś nastąpił nocleg.

Trzeciego dnia rano, t. j. we wtorek, wycieczka udała się dalej doliną Dunajca, przejechawszy koło ruin zamków w Tropiu, Czchowie, Melsztynie, by wreszcie stanąć wieczorem w Krakowie, a uczestnicy jej, syci wrażeń, spocząć mogli już we własnych domach przed czekającymi ich następnego dnia obowiązkami zawodowymi.

W wycieczce brało udział 26 osób, w czem 6 pań, a odbyła się ona przy najpiękniejszej pogodzie i mocno żałować należy, że niektórzy zgłoszeni z obawy przed niepogodą wycofali swój udział.

O ile pogoda i okoliczności pozwolą, projektowane są w bieżącym sezonie jeszcze wycieczki do źródeł Wisły, na Orawę i do Zakopanego, na Pomorze, do Beskidu wschodniego i inne mniejsze.

Uczestnik.



Wycieczka krakowskich kolarzy w dolinę Dunajca i Popradu. 1) Widok na Czorsztyn 2) Zamek w Niedzicy. 3) Przeprawa przez Dunajec w Tropiu.



Tracę siły, tracę zdrowie,
co też gospodyni powie,
bielizna jest brudna, zdarta,
muszę szukać mydła
z dzwonkiem „Fat“a.



Szukałam porę lat, aż dostałam mydła „FAT“
bielizna jest biała, czysta nie zniszczona
na czas... lat, bo piorę jedynie mydłem „FAT“
Mydło z dzwonkiem „FAT“
oszczędza bieliznę na porę lat.



W Administracyi Nowości Illustrowanych
jest do nabycia
Księga pamiątkowa wielkiej wojny.
(Kalendarz z 1914-15-16 roku).
Cena 50 Marek polskich.



GONIEC KRAKOWSKI

Wielkie pismo codzienne o bardzo bogatym dziale politycznym, społecznym i gospodarczym, referowany przez pierwszorzędne pióra polityczne.

Zamieszcza najświeższe informacye telefoniczne i telegraficzne. Posiada doskonale zorganizowaną sieć własnych korespondentów.

Przynosi: najświeższe informacye z kraju i zagranicy, w szczególności handlowe i giełdowe, wszelkie projekty Rządu i Sejmu na polu gospodarczem, oraz wszelkie zarządzenia Władz w tej dziedzinie, omawiając je szczegółowo i krytycznie.

Obfitą i wyborczą treść uzupełnia nadto dział: naukowy, wojskowy, literacki i artystyczny. Doskonałe migawki humorystyczne, dział szaradowy (co drugą niedzielę 6 cennych nagród), dział mód, wyborne powieści i. t. d.

DZIAŁ OGŁOSZEŃ
zapewnia inserentom pierwszorzędne korzyści.

Do nabycia na całym obszarze Rzeczypospolitej. – Na żądanie wysyła się numery okazow⸗.

Istniejący od lat dwudziestu
Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców
Stowarz. zarej. z ogran. poręką.
w Krakowie, Floryańska 7.
przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. – Suknie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materałów na kostyumy męskie i na damskie.

„HUMOR POLSKI“
Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny
Do nabycia w całej Polsce
Cena egz. 15 Mk.

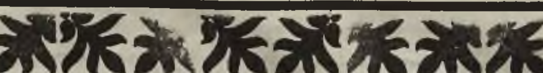
„BOCIAN“
Dwutygodnik humorystyczny
Do nabycia we wszystkich Ajencyach
Cena egz. 20 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi
Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

Drukarnia D. E. Friedleina
w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479
zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.



Album Legionów Polskich
Zeszyt I.
Cena 40 marek
Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“



Wielkie korzyści
PP. Kupcom i Przemysłowcom
przynosi
abonowanie poniżej wymienionych w całej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:

Tygodnik	„Kupiec“	prenumerata kwart.	M. 100·—
„	„Drogerzysta“	„ „	„ 72·—
„	„Przegląd włókniczy“	„	72·—
Dwu „	„Dom gościnny“	„ „	50·—

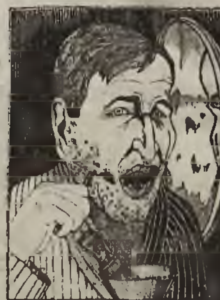
Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem
2 Marek.
Adres zamówień:
POZNAŃ, UL. WIELKA 10.

ZA MĄŻ wyjść lub się OŻENIĆ
można przez jedyne w Polsce pismo „FORTUNA“ Redakcja Kraków Rynek Gł. 11. Nr. 20. jest wszędzie do nabycia i na stacjach kolejowych —

Księgarnia Dra Wł. Miłkowskiego
(Kraków, Floryańska 1.)
sprzedaje niewielką resztę egzemplarzy następujących dzieł, oddawna wyczerpanych w handlu księgarskim:
Bartoszewicz K. Księga pamiątkowa Konstytucyi 3 maja. 2 tomy. – Cena 50 marek.
Bartoszewicz K. Antysemityzm w Polsce do końca wieku XVII. Cena 120 marek.
Niemcewicz J. U. Powieści poetyczne. – Cena 24 mk
Rutowski Tadeusz. W sprawie przemysłu krajowego. – Cena 48 marek.
Rutowski Tadeusz. Przemysł cukrowniczy, jego wpływ na rolnictwo. Cena 35 marek.
Minister Floryan **Ziemiałkowski.** (Kartka z dziejów Galicyi, z portretem). – Cena 24 marek.

Najstraszniejszy reumatyzm, wszelkie bóle głowy, choroby żołądka, płuc, nerek, kiszek, wątroby, katary płuc, gruźlicę leczy wprost zdumiewająco i szybko jedyna naturalna metoda lecznicza prof. amerykańsk. Chittendena.

Przyślijcie 41 do „Promienia“ Kraków WW. Świętych 8, a otrzymacie wykład tej zdumiewającej metody.



Ach! całą swoją twarz zniszczyłem dotychczasowem mydłem do golenia.

A przecież dobrze radził mi mój brat, że najlepsze mydło do golenia jest „Fat“!



PRZEMYSŁOWCY! PRZEMYSŁOWCY!
IMPORT & EKSPORT
Towarzystwo Handlowe Imigracyi Stanów Zjednoczonych Ameryki
ma wielki zbyt na towary polskiego wyrobu. Również zamówienia z kraju uskutecznia bezzwłocznie. Piszcie lub telegrafujcie do IMMIGRANT COMMERCE ASSOCIATION

L. A. Prosiński, Prezydent. 1078 Broadway

Adres telegraficzny: „IMCOM BUFFALO“.

Wszelkie poszukiwania i informacye załatwia się natychmiast.

W. J. Bukowski, Vice-Prezydent. Buffalo, N. Y. U. S. A.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.